Rok VI. Czerwiec 1900 r. Nr. 6.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

ZARAZA GALICYJSKA.

Stwierdzając niedawno bankructwo polityki galicyjskiej, zarówno wewnętrznej, w sprawach krajowych, jak i w stosunku do państwa, ubocznie tylko zaznaczyliśmy przyczyny tego faktu. Obecnie gdy polityka Koła polskiego, galicyjska polityka narodowa, dochodzi już *usque ad finem* niedołęztwa, śmieszności i nikczemności, należy się nad przyczynami temi zastanowić. Galicyjscy mężowie stanu stworzyli całą szkołę »rozumu politycznego«, wytworzyli cały system taktyki działania politycznego. Ta szkoła i ten system cieszą się uznaniem nietylko w tym kraju, ale i w innych dzielnicach Polski, imponują nietylko swoim zwolennikom, ale i przeciwnikom, oddziaływują na tych ostatnich bezwiednie. Wszystkie stronnictwa w Polsce w miejszym lub większym stopniu uległy wpływowi galicyjskiej szkoły rozumu politycznego, przyjęły częściowo jej zasadę, wzorowały swoją działalność na jej taktyce. Nawet najbardziej radykalne nie uniknęły tego zarazka mądrości politycznej, przeciwnie, i w nich także rozplenił się on bujnie.

Zdawać by się mogło, że ta szkoła rozumu politycznego posiadać musi jednak pewną i to dosyć znaczną wartość pozytywną, skoro tak powszechny wpływ wywarła. W rzeczywistości jednak wartość jej jest bardzo małą. Zasadą tej szkoły galicyjskiej rozumu politycznego jest utylitaryzm, właściwością znamienną jej taktyki — oportunizm, ale jeden i drugi w bardzo lichym, pospolitym gatunku.

Polityka realna musi być utylitarną i musi być w pewnem znaczeniu oportunistyczną, albo raczej, używając terminu francuskiego, possybilistyczną. Otóż nie za utylitaryzm i oportunizm potępiać trzeba galicyjską szkołę polityczną, ale za to, że jej utylitaryzm był poziomy i marny, że jej oportunizm był ciasny i tchórzliwy.

Utylitaryzm znaczy po prostu, że każdy czyn polityczny powinien przynosić korzyść rzeczywistą, chociażby drobną. Ale nie wyłącza on bynajmniej zasad w polityce. Każdy czyn polityczny powinien przynosić korzyść albo sprawie narodowej, albo tym sprawom i interesom politycznym i społecznym, którym dane stronnictwo służy, których broni. Utylitaryzm galicyjski trzydzieści lat temu miał niewątpliwie na widoku sprawę narodową, ale już wtedy jednostronnie i formalnie ją pojmował. Chodziło o to jedynie, żeby administracya kraju była polską i żeby Polacy mieli pewien wpływ na sprawy państwa lub przynajmniej głos w tych sprawach za pośrednictwem ministrów-rodaków i wogóle wysokich dygnitarzy państwowych. Oba te cele określone osiągnięto, ale z niewielką korzyścią dla sprawy narodowej, dlatego właśnie, że istoty tej sprawy nie rozumiano. Administracya kraju jest polską, tj. składa się przeważnie z Polaków, ale forma jej zewnętrzna jest wierną kopią ogólno-austryackiego szablonu, ale ustawy, które wykonywa i stosuje, są te same, co w całem państwie, nie mają w sobie nic polskiego, nie odpowiadają ani potrzebom, ani duchowi narodu. Mamy w kraju władze austryackie, złożone z Polaków i urzędujące w języku polskim, ale nie mamy ani administracyi prawdziwie polskiej, ani polskich sądów, ani nawet polskich szkół, nie mamy istotnej autonomii narodowej. Pisaliśmy już nieraz o tem, nie będziemy więc powtarzali rzeczy, znanych czytelnikom naszym, zaznaczymy tylko, że polityka galicyjska nie miała nigdy, przynajmniej nigdy nie okazywała świadomości, że najważniejszym interesem narodu, znajdującego się w takiem, jak nasz, położeniu jest utrwalenie jego odrębności politycznej i kulturalnej. A jeżeli nawet o podobnem zadaniu myślano, nie zastanawiano się wcale nad tem, co stanowi istotę, rdzeń odrębności narodowej. O formalistycznem pojmowaniu sprawy świadczy między innymi drobny ale znamienny fakt. Nie mówiąc już o tem, że nie starano się wcale o spolszczenie nazw różnych władz, ale zachowano dziko i nieraz śmiesznie brzmiące w polskiem uchu nazwy niemieckie, będące niefortunnym wymysłem austryackiej biurokracyi, zaś przy tłumaczeniu ustaw i przepisów nie szukano wzorów w dawnem słownictwie prawno - politycznem polskiem, tylko żywcem, bez zmiany przerabiano terminy niemieckie na niby to polskie. Język urzędowy galicyjski jest obrzydliwym wytworem tego rodzaju roboty i Polak z innej dzielnicy z trudem go rozumie.

Niewątpliwie oddanie administracyi kraju w ręce Polaków było ważną zdobyczą polityczną, ale ograniczenie interesu narodowego do tego wyłącznie zadania było wielkim błędem. Rozwijając konsekwentnie takie ciasne pojmowanie interesu narodowego, utylitaryzm galicyjski dojść musiał w końcu do utożsamiania tego interesu już nawet nie z interesem stronnictw, ale koteryj i osób. W frazeologii politycznej galicyjskiej wyrazy »interes kraju« lub »interes narodu« są jeszcze nieraz używane, lecz oznaczają interes jakiejś kliki lub nawet osoby i jej najbliższych klientów. I nie tylko ci, którzy z tego zysk mają, tak rzecz pojmują, ale i ogół cały. Cieszą się ludzie poczciwi, kiedy np. Polak zostaje ministrem, chociaż z doświadczenia wiedzą lub przynajmniej wiedzieć powinni, że ani kraj, ani tembardziej naród nic na tem nie zyskują.

W polityce wewnętrznej nie starano się wcale o wzmocnienie i utrwalenie odrębności narodowej, co powinno było być celem głównym polityki utylitarnej, wpływów zaś, zdobytych w Wiedniu, zarówno dzięki temu, że Polacy zajmowali wybitne stanowiska w państwie, jak i dzięki temu, że Koło polskie stało się decydującem stronnictwem parlamentarnem, nie wyzyskiwano wcale dla interesów narodowych polskich. Polityka austryacka nawet wtedy, gdy zdawało się, że Polacy rządzą istotnie Austryą, nie uwzględniała w najmniejszej mierze interesów narodowych polskich. Dosyć zaznaczyć, że w tym samym czasie, kiedy Polacy mieli lub przynajmniej mogli mieć wpływ poważny na politykę zewnętrzną Austryi i zarazem kiedy trójprzymierze dosięgło najwyższego stopnia ścisłości, w państwie pruskiem, zaprzyjaźnionem z Austryą, odbywało się wtedy właśnie brutalne prześladowanie narodowości polskiej, nie oszczędzające, chociażby ze względów dyplomatycznych, Polaków poddanych austryackich. A nie ulega wątpliwości, że w ówczesnym układzie stosunków jedno stanowczo wystąpienie Polaków galicyjskich z żądaniem kategorycznem, ażeby rząd austryacki domagał się od Prus jeżeli nie zaniechania zupełnego to złagodzenia polityki antypolskiej, miałoby wielką doniosłość.

Nie trzeba było nawet fomułować określonego żądania, bo rząd austryacki ulegał wówczas wpływom polskim nietylko parlamentarnym, bo Polacy sami byli zaufanymi doradcami i w pewnej mierze kierownikami polityki austryackiej.

Inaczej w podobnych okolicznościach postąpiliby Węgrzy lub nawet Czesi. Ich polityka była również i jest dzisiaj utyli-

tarną, ale utylitarną dla interesów narodowych, nie zaś dla interesów koteryjnych lub osobistych.

Galicyjscy mężowie stanu i publicyści powtarzają często, że nie możemy naśladować Węgrów lub Czechów, ich bowiem interesy narodowe są zamknięte w granicach monarchii austro-węgierskiej, nasza zaś polityka musi uwzględniać interesy całego narodu polskiego. »Polacy — pisze w Nowej Reformie jeden z członków Koła — nie mogą prowadzić polityki prowincyonalnej, wyłącznie galicyjskiej, lecz muszą prowadzić politykę polską«. To zdanie, teoretycznie słuszne, ma służyć za argument, broniący dotychczasowej, niedołężnej polityki Koła polskiego i ostatnich jej ewolucyi. Ale właśnie o to chodzi, że polityka galicyjska nie jest ani narodowo-polską, ani nawet rozumną polityką prowincyonalną, że jedyną jej zasadą przewodnią był do niedawna lojalizm austryacki, któremu dziś zresztą świadomie lub bezwiednie się przeniewierza. Szanowny członek Koła wywodzi dalej, że ta polityka niby to polska »wkłada na nas obowiązek krzepienia i pogłębiania sił narodowych, podnoszenia kraju pod względem ekonomicznym i intellektualnym. Spełnić to można tylko wtedy, jeżeli organizm państwa, które nam daje możliwość swobodnego rozwoju, będzie krzepkim i zdrowym, jeżeli życie konstytucyjne, któremu tyle zawdzięczamy i które jest rękojmią utrzymania swobód uzyskanych, trwać będzie nienaruszone«.

To zdanie, znowu słuszne w znacznej mierze teoretycznie, wcale nie odpowiada stosunkom realnym. Polityka galicyjska nie przyczyniła się wcale do »pokrzepienia i pogłębienia sił narodowych", do „podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i intelektualnym«, ani do wzmocnienia organizmu państwowego i zabezpieczenia życia konstytucyjnego I w kraju i w państwie panuje rozstrój zupełny, stoimy wobec groźnego a niemal nieuniknionego bankructwa politycznego.

Ci, którzy dowodzą, że polityka polska w Austryi musi uwzględniać interesy całego narodu, pomiędzy trzy państwa podzielonego, a więc musi mieć inne zadania i inną taktykę, niż polityka węgierska lub czeska, twierdzą, że nasza polityka musi dążyć przedewszystkiem do utrzymania potęgi państwowej Austryi, która jest jedyną ostoją naszej narodowości. Przypuściwszy, że tak jest istotnie, zapytajmy, czy polityka węgierska lub czeska nie ma tego samego celu. Ta okoliczność, że interesy narodowe Węgrów lub Czechów nie wychodzą po za granice monarchii habsburskiej tembardziej nakazuje politykom węgierskim lub czeskim troszczyć

się o całość i potęgę państwa. Węgry bez Austryi byłyby niewielkiem państwem, złożonem z żywiołów różnorodnych, w których wyodrębnienie korony św. Stefana wzmocniłoby tylko dążenia odśrodkowe, państwem, narażonem w każdej chwili na rozszarpanie znacznej części jego terytoryum przez sąsiadów. Czechy, gdyby po upadku Austryi zachowały nawet niezależność, byłyby niewielką wyspą, zagrożoną zalewem fal germańskich. Węgrzy lub Czesi doskonale rozumieją, że ich interesy narodowe są ściśle związane z utrzymaniem Austryi, z jej potęgą zewnętrzną i spokojem wewnętrznym, że upadek tego państwa byłby dla nich straszną klęską, może nawet zapowiedzią blizkiej zagłady. Jeżeli więc inną prowadzą politykę, niż Polacy, inną taktykę stosują, to dlatego, że inaczej i rozumniej interes narodowy pojmują, że istotnie o nim myślą.

Byłoby niedorzecznością i szaleństwem z naszej strony dążyć świadomie przy dzisiejszym układzie stosunków do osłabienia Austryi. Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami takiego utylitaryzmu politycznego na krótką metę, który, nie troszcząc się o skutki i nie dbając o przyszłość, chce w teraźniejszości zagarnąć jak najwięcej korzyści realnych. Istnienie Austryi, a nawet wzmocnienie jej potęgi państwowej w chwili obecnej jest dla nas korzystnem. Powinniśmy nawet dla tego celu ponosić pewne ofiary z uszczerbkiem zysków doraźnych. Ale korzyść dla naszych interesów narodowych z istnienia i potęgi Austryi nie jest jakiemś bezwzględnem przykazaniem politycznem, nie jest ani jedynym ani naczelnym naszym interesem narodowym.

Przedewszystkiem błędnem jest w tem rozumowaniu politycznem twierdzenie, że autonomia narodowa w Galicyi ma jakieś szczególne, decydujące znaczenie dla sprawy polskiej. Nie lekceważymy bynajmniej tych swobód politycznych, jakie Galicya posiada i ich dodatniego wpływu na rozwój naszej sprawy narodowej. Ale środek ciężkości naszej sprawy i naszej siły gdzieindziej spoczywa. Gdyby Galicya przeszła pod panowanie innego państwa, np. Rosyi, byłoby to w warunkach dzisiejszych dotkliwą klęską dla naszej sprawy, dla naszych interesów narodowych, ale nie decydowałoby jeszcze o naszej przyszłości, a w pewnych okolicznościach może nawet okazałoby się dla niej korzystnem. Przypuśćmy fakt, w rzeczywistości niemożliwy, że straciliśmy zupełnie Galicyę, że zniknęła ona z powierzchni ziemi, wraz z całą autonomią narodową, szkołami i urzędami polskimi, ze wszystkiem, co tu istotnie życie narodowe stanowi i co tylko jest blichtrem patryotycznym. Czy

naród polski wskutek tego przestałby istnieć, straciłby podstawę bytu, nadzieję zachowania kulturalnej i odzyskania politycznej samodzielności? Nie! tego nikt powiedzieć nie może.

Interesy narodowe polskie nie są równoznaczne z interesami Galicyi a tembardziej z interesami państwa austryackiego. Niewątpliwie pomiędzy pierwszymi i ostatnimi istnieje dziś w wielu punktach styczność, w niektórych wypadkach są one wspólne. Jak już zaznaczyliśmy wyżej, utrzymanie państwa austryackiego w powadze i sile jest obecnie dla sprawy naszej potrzebnem, nawet koniecznem, ale to zadanie nie wyczerpuje bynajmniej zakresu sprawy polskiej, nie może być naczelnem jej wskazaniem politycznem, nawet z dodatkiem pokrzepiania i pogłębiania życia narodowego w Galicyi w sposób, dotychczas praktykowany. Nie znaczy to wcale, że powinniśmy zadanie powyżej zaznaczone lekceważyć, owszem, musimy je zawsze w naszej polityce narodowej uwzględniać, ale po za niem ma ona w Galicyi inne zadania, pilniejsze i ważniejsze. A najdonioślejszem z nich jest utrwalenie naszej odrębności narodowej, chociażby to sferom, rządzącym w Austryi, wydawało się dla państwa szkodliwem, chociażby wbrew ich woli i z utratą czasową posiadanych przez nas wpływów i stanowisk.

Poziomy utylitaryzm polityki galicyjskiej nie może się zdobyć na takie postawienie stosunku naszego państwa, nawet wtedy, gdy rozumie, że byłoby to dla Austryi istotnie korzystnem. Śmiała decyzya jest niemożliwą dla utylitaryzmu, oddawna już sprowadzonego do uzyskiwania wpływów i stanowisk osobistych i wyjednywania drobnych, realnych koncesyi dla kraju Politycy galicyjscy nietylko nie chcą nowych wyborów i wszelkich zmian w ustroju państwa, żeby nie stracić mandatów i stanowisk, ale dlatego, że boją się jakichkolwiek zmian. *Quieta non movere* — to ich zasada jedyna i tak w tej gnuśności zagrzęźli, że lękają się nawet strat i przykrości chwilowych, chociażby te w następstwie dalszem rokowały im niewątpliwe korzyści, chociażby rozumieli — a z pewnością niektórzy przynajmniej rozumieją — że unikanie decyzyi stanowczej i stosowanie pół-środków wprowadza rozstrój w państwie, podkopuje jego siłę, wywołać może nawet straszną katastrofę. Ci, którzy powiadają, że zadaniem głównem polityki polskiej powinno być utrzymanie potęgi państwowej Austryi, sami świadomie przyczyniają się do jej osłabienia, bo nie mają odwagi zastosowania środków radykalnych. jedynie w takiem położeniu skutecznych, bo nie mogą zdecydować się na ofiarę,

niekoniecznie zresztą potrzebną, z zainkasowanych już zysków publicznych i osobistych, bo nie uświadamiają sobie nakoniec, co robić potrzeba, gdyż zatracili rozumienie i poczucie interesów narodowych. W Kole polskiem i w kraju rej wodzą mętne umysły i marne charaktery. Mężowie stanu galicyjscy są i byli małymi ludźmi i polityka ich jest i była lichą i niemądrą. Dzisiejsi gorsi są od poprzedników, ale i tamci, chociaż posadzono ich na piedestatach w panteonie narodowym, nie byli ludźmi szerokiej myśli politycznej i śmiałego charakteru. Oni to bowiem — Grocholscy, Ziemiałkowscy i inni — byli przecie twórcami tego utylitaryzmu poziomego, tego oportunizmu ciasnego i lękliwego, który politykę galicyjską charakteryzuje. Ponieważ byli ludźmi zdolnymi i działali w warunkach pomyślnych, polityka ich wydawała się mądrzejszą i skuteczniejszą, niż dzisiejsza polityka Abrahamowiczów, Jaworskich i Rutowskich. Ten stan jednak, do jakiego ta polityka Galicyę i sprawę polską w Austryi doprowadziła, świadczy najlepiej o jej wartości. Nie była zaiste mądrą i przezorną ta polityka, która w ostatecznym rezultaltacie, po trzydziestu latach stosowania jej w warunkach niezwykle pomyślnych, daje bankructwo i rozstrój zarówno w stosunkach wewnętrznych kraju, jak i w stosunku jego do państwa, powszechne niezadowolenie i, co gorsza, bezradność powszechną, beznadziejną, wywołującą w społeczeństwie niezdrowe pragnienie bodajby jakiejś katastrofy, byle wyjść z nieznośnego położenia. Polityka realna musi być zawsze zakreśloną na niedługi przeciąg czasu, na życie działającego pokolenia, i dopiero po upływie tego terminu może być należycie ocenioną, bo skutki jej są widoczne. Dla polityki utylitarnej galicyjskiej nadchodzi już ten termin i fatalne jej skutki pozwalają ocenić rzetelnie jej wartość.

A jednak galicyjski rozum polityczny w całej Polsce zyskał uznanie, wywarł wpływ niezaprzeczony na działalność wszystkich stronnictw. To jest fakt, który wyjaśnić należy. Przedewszystkiem galicyjscy mężowie stanu zaczęli działać wówczas, gdy w zaborze rosyjskim życie polityczne zupełnie zamarło, a w zaborze pruskim działalność parlamentarna, która tam była jedyną formą działalności politycznej, wskutek zmiany warunków prawno-państwowych stała się zupełnie bezpłodną. Nic dziwnego, że w chwili, gdy życie narodowe w innych dzielnicach Polski na pozór kurczyło się i zamierało, a w Galicyi właśnie zaczynało się budzić i rozwijać, w chwili powszechnego przygnębienia, — ludzi, którzy byli istotnie w znacznej mierze sprawcami tej zmiany

w stosunkach upośledzonej dotychczas więcej od innych prowincyi, uważać zaczęto za genialnych mężów stanu a ich taktykę działania — za wzór mądrości politycznej. Zaprzeczyć nie można, że pierwsi mężowie stanu galicyjscy byli istotnie zdolnymi politykami praktycznymi, że wyzyskali zręcznie sprzyjające okoliczności i że działalność ich była dla sprawy narodowej pożyteczną. Ale ten utylitaryzm polityczny, który oni stworzyli, w znacznej części unicestwił pierwsze owoce swej działalności, a w następstwie, wyradzając się i spadając na coraz niższy poziom, stał się dla Galicyi i sprawy polskiej czynnikiem szkodliwym, pośrednio zdemoralizował społeczeństwo.

Dziś jeszcze najzawziętsi przeciwnicy polityków galicyjskich uważają ich za ludzi rozumnych i dla tego tembardziej niebezpiecznych. Jestto złudzenie. Nawet ci najpierwsi, znakomici przedstawiciele galicyjskiego rozumu politycznego byli na ogół ludźmi małej miary, chociaż sprytnymi i rutynowanymi działaczami publicznymi. Następcy zaś ich są przeważnie ludźmi słabej głowy i słabego charakteru, niezdolnymi do samodzielnego myślenia, pozbawionymi iskry bożej talentu i zastępującymi brak poważnego politycznego wykształcenia rutyną parlamentarną lub urzędniczą. Dzięki tej rutynie i takiemu sprytowi, ludzie ograniczeni, czasem nawet po prostu głupi, zajmują wysokie stanowiska, stoją się widomymi przedstawicielami polityki galicyjskiej. Małostkowość tej polityki sprawia, że ludzie rzeczywiście inteligentni i zdolni marnują swe siły w jej ciasnych szrankach i zazwyczaj wycofują się z widowni parlamentarnej na posady urzędnicze. Widzimy wogóle w Galicyi smutny fakt, że ludzie najuczciwsi i najinteligentniejsi usuwają się w ostatnich czasach od działalności publicznej. Dziwić się temu nie należy, przełamanie bowiem panującej rutuny politycznej jest bardzo trudnem, prawie niemożliwem w okolicznościach zwykłych, zużywanie zaś sił na walkę podjazdową i narażanie się na utratę poczciwej sławy, nikogo pociągnąć nie może.

Politycy galicyjscy są przeważnie nietylko ludźmi słabej głowy ale i marnego charakteru. Przytaczanie faktów byłoby uważane za plotkarstwo, zaznaczyć jednak ogólnikowo trzeba, że niewielu znaleźć można, którzy mieliby czyste imię. Niema między nimi zbrodniarzy, bo niema wogóle ludzi dużej miary i dużego temperamentu, ale sporo jest tuzinkowych spekulantów, szwindlarzy i zwyczajnych szubrawców w życiu prywatnem. Ci nawet, na których opinii niema plam wyraźnych, grzeszą brakiem

godności osobistej i narodowej. Jakież poczucie godności może mieć ciało polityczne, wybierające na swego przedstawiciela człowieka, skompromitowanego udziałem w matactwach giełdowych znoszącego cynicznie rzucane mu w twarz obelgi, których odeprzeć nie może. Marna polityka i marni ludzie, którzy ją prowadzą. Zresztą taki system, taka taktyka mogą nawet wybitniejsze indywidualności znieprawić i poniżyć. Od wielu lat w działalności polityków galicyjskich niema ani jednego śmiałego czynu, ani jednego męzkiego, pełnego godności wystąpienia. Działalność ich bywała sprytną lub niedorzeczną, ale ani w jednym, ani w drugim wypadku nie była nigdy jasną, wyraźną, śmiałą. W ostatnich czasach było w społeczeństwie galicyjskiem dwóch ludzi wyższej miary, — bez względu na ocenę wartości ich politycznej — hr. Kazimierz Badeni i Stanisław Szczepanowski. Obaj zmarnowali się, raczej obu zmarnował galicyjski system polityczny i wytworzone przezeń stosunki.

Galicya była zawsze i jest partykularzem prowincyonalnym, do niedawna udział jej w życiu duchowem i politycznem narodu był dosyć słaby. Stosunki społeczne w tym kraju tak się ułożyły, że warstwy, mające tradycyę polityczną, ogarniającą całokształt sprawy narodowej, są bardzo nieliczne. Tak zwana arystokracya galicyjska z niewielu wyjątkami jest formacyą świeżą, z wątpliwej wartości etycznej i kulturalnej żywiołów złożoną. Szlachty wiejskiej, która gdzieindziej w Polsce wytworzyła warstwę inteligencyi, jest w tym kraju nie wiele. Wskutek słabego rozwoju przemysłu i handlu niebyło również bogatego i światłego mieszczaństwa w znaczeniu europejskiem. Zmiana warunków politycznych w siódmym dziesiątku tego wieku i demokratyzacya społeczeństwa wysunęły na plan pierwszy żywioł bardzo lichy, do którego zastosować można słowa Pola »czeladź podła, wszemu krzywa, która wierzchem ludu spływa, jak nieczyste szumowiny«. Z tej »czeladzi« bez tradycyi politycznej, bez kultury, nawet bez świadomości narodowej, złożonej w znacznej części z żywiołów obcych, niepolskich, pozornie tylko zasymilowanych, wytworzyła się inteligencya galicyjska, która krajem rządzi i politykę jego prowadzi. W dodatku żywioł ten uległ w pływowi kultury niemiecko-austryackiej zajmującej w kulturze europejskiej najpośledniejsze miejsce. Austrya jest Beocyą Europy, a Galicya — Beocyą Austryi.

I takie oto żywioły prowadzić mają politykę narodową polską, obejmującą nietylko sprawy Galicyi ale i innych dzielnic, mają przedstawiać myśl polityczną polską, wykreślać kierunek działal-

ności całego narodu? Inicyatorowie polityki galicyjskiej mieli przynajmniej wspomnienia udziału osobistego w wielkich ruchach narodowych i społecznych, mieli przyrodzone poczucie polskości. Następcy ich i tego nie mają. Ktokolwiek obcował z wybitnymi politykami galicyjskimi, wie dobrze o tem, że nie mają oni pojęcia o całokształcie spraw polskich i, co gorzej, nic ich te sprawy nie obchodzą.

Polityka tych ludzi, chociażby nawet miała za sobą rutynę i powodzenie realne, nie może być polityką narodową polską, nie może być dla niej wzorem. Ona tylko zakaża i znieprawia naszą myśl polityczną, sprowadza ją na fałszywe tory. Taktyka działalności publicznej, którą ten rzekomy rozum polityczny zaleca, jest dla sprawy narodowej szkodliwą, co zresztą dzisiejsze położenie Galicyi i Polaków w Austryi dostatecznie stwierdza. Rutyną polityczną góruje niewątpliwie Galicya nad innemi dzielnicami, ale ta rutyna w służbie poziomego utylitaryzmu i nędznego oportunizmu, w służbie prywaty i gnuśnego kwietyzmu, nie jest bynajmiej czynnikiem dodatnim dla sprawy narodowej.

Na tę zarazę, która nietylko w Galicyi życie polityczne zatruwa, ale i inne dzielnice Polski zakaża, jedynem lekarstwem jest dalszy rozwój demokratyzacyi społeczeństwa, który powoła do działalności publicznej warstwy ludowe, mające przynajmniej przyrodzone poczucie polskości, żywą świadomość odrębności narodowej. To poczucie, ta świadomość w związku z dążeniem do uzyskania samodzielności społecznej, dają podstawę do wytworzenia polityki, ogarniającej szersze widnokręgi, zdolnej do śmiałej myśli i śmiałego działania.

STOSUNKI KOŚCIELNE NA LITWIE.

(Listy otwarte księdza do księży).

III.

PATRYOTYZM a KATOLICYZM.

Czy patryotyzm nie daje się pogodzić z kapłaństwem katolickiem? — Czy Polski już nie ma? Przykład Leona XIII. — Kalectwo duchowe. — Nasza kastowość. — Znaczenie polszczyzny dla kościoła u nas. — Ks. rektor Bajko. — Ślepe społeczeństwo.

Często zdarza się słyszeć z ust naszych księży, że patryotyzm nie daje się pogodzić z duchem kapłaństwa katolickiego. Takie twierdzenie

ubliża naszej religii; patryotyzm to jedno z praw, które Bóg sam wypisał w sercu człowieka; kościół, mieniący się Bożym, praw tych łamać nie będzie. Kościół każe czcić ojca i matkę, miałżeby zabraniać miłości dla ojczyzny, która jest matką nas wszystkich, bo chlebem swym nas wykarmiła, śpiewem swych ptasząt, szumem lasów nas wykołysała, kwieciem łąk i pól nasze życie umaiła? Nie — to nonsens! Każda garść ziemi naszej jest nam drogą i sercu naszemu blizką, bo przesiąknięta potem, krwią i łzami naszych praojców, naszych męczenników za wiarę i ojczyznę.

»Kapłan katolicki kochać powinien wszystkie narody«. Zgoda! A więc i swój naród, tembardziej, że skrzywdzony i nieszczęśliwy. Jeśli widzę dwóch walczących, z których jeden się broni, drugi napada, to, oczywista, moje uczucie chrześcijańskie każe stanąć w obronie napadniętego. Ewangelia każe kochać wszystkich, ale więcej swą matkę, niż cudzą, szczególniej, gdy ta swoja napadnięta przez zbója, pokaleczona, broczy we krwi i we łzach własnych. Duch religii naszej nie zabrania bronić przeciwko złodziejstwu swej własności, jeżeli nią będzie pieniądz, ubranie, chleb, sprzęt, a tembardziej skarbów stokroć droższych, jak wiara, język, tradycye, godność narodowa, słowem to wszystko, co jest naszym historycznym i kulturalnym dorobkiem i czem Bóg nas z pomiędzy reszty ludzkości wyodrębnił.

Powiem nawet, że w naszych warunkach brak patryotyzmu sprzeciwia się duchowi kapłańskiemu. Nie bronić kraju przeciwko rusyfikacyi byłoby to grzesznem, obojętnem przyglądaniem się, jak silny krzywdzi słabego, jak zwycięzca depce zwyciężonego; byłaby taka obojętność zaprzeczeniem zasad ewangelii, które każą brać w opiekę maluczkich i słabych przeciw brutalnej przemocy.

Niektórzy swą neutralność nazywają godzeniem dwu powaśnionych narodów. Wilk trzyma barana w paszczece, ja patrzę na to z założonemi rękami, jestem neutralny t. j. nie przeszkadzam wilkowi zjeść barana. Owszem, od czasu do czasu rzucę słowa: »baranie, po co beczysz i wyrywasz się, daj się zjeść wilkowi w milczeniu«. Właściwie więc jestem sprzymierzeńcem wilka przy takiej neutralności. W taki sposób księża nasi godzą dwa powaśnione narody.

»Tu Polski nie ma, tu Rosya«, powiada *Wileńskij Wiestnik* i urzędnicy rosyjscy. W ustach takich — to dla mnie zrozumiałe, ale słowa te w ustach księży przejmują dreszczem zgrozy. Nie ma Polski na mapie geograficznej, ale żyje ona w dwudziestomilionowym narodzie, zjednoczonym przez wspólną przeszłość historyczną, przez wspólną wiarę, literaturę, obyczaj, kulturę, przez wspólne jarzmo i wspólną niedolę. Nazwijmy ziemię naszą ojczystą nie Polską lecz Litwą; jak i za

czasów Rzeczypospolitej, a już w żadnym razie nie Rosyą. Z rozbiorem Polski, z wykasowaniem jej z mapy, nie przestała istnieć ona, zmieniła się tylko forma jej istnienia. Wprawdzie ta nowa forma czyni ją nieszczęśliwą, cierpiącą, skrzywdzoną, ale to chyba nowe jej prawo do naszej miłości. Czyż wiara Chrystusowa nie każe jeszcze bardziej do serca przygarnąć tego, co cierpi? Czyż język rodzinny nie staje się droższym już przez to samo, że nam chcą go wydrzeć, że przed oczami są tabliczki z napisem: »Po polski gaworit' wosprieszczajetsia«? Czyż historya nasza nie staje się godniejszą naszych studyów już przez to samo, że ją w pismach, szkołach Moskale błotem obrzucają? I czy nie pobudza nas do tem gorliwszego bronienia Litwy przed rusyfikacyą już jedna ta okoliczność, że w bezgranicznej swej bezczelności Moskale nazywają ją: »iskoni russkaja ziemla«? Wszak kościół nasz jest obrońcą praw nietylko jednostki lecz i narodu. Czyż religia, która ogłasza się Chrystusową byłaby nią, gdyby nie broniła słabszych narodów przeciwko naciskowi silniejszych?

Leon XIII na wieść o rozbiciu wojsk włoskich przez Menelika pod Aduą w r. 1895. kazał wywiesić w Watykanie czarne chorągwie na znak żałoby po klęsce ojczyzny. Ten przykład głowy kościoła naszego chyba zamknie usta tym, którzy dowodzą rzekomej sprzeczności patryotyzmu z duchem katolickim. Papież wyraźnie w tym czynie pokazał, że jest nietylko kierownikiem katolicyzmu, lecz Włochem, synem swej ziemi i że nietylko dobro kościoła lecz i pomyślność ojczyzny leży mu na sercu*).

A nasz Skarga czy nie w patryotycznych kazaniach sejmowych zostawił największe arcydzieła natchnionego krasomówstwa i czy pomimo to, albo właśnie dlatego nie jest wzorem kapłana katolickiego i polskiego?

Nasi księża kosmopolici mogą sobie powinszować, że pod względem patryotyzmu stoją na jednym poziomie z Żylińskim, Niemekszą, Tupalskim, a z żyjących z Sęczykowskim, Zauścińskim, Jurgiewiczem, Jusiewiczem, Warpachowskim, Zajkowskim itd. Ci księża wyrzekli się tylko polskości; zaznaczają, że są z wyznania katolikami i kochają bardzo swój kościół.

Uzasadniać dowodami miłość wszystkiego, co ojczyste, rzeczą trudną, że nie powiem niemożliwą. Patryotyzm jest raczej kwestyą serca niż rozumu, uczucia niż dowodzenia. Kto tego zmysłu niema, ten kaleka.

---

*) Nr. 34 *Gazety polskiej* 1900 r. na tytułowej stronicy pod nagłówkiem „Z Rzymu“ czytamy ustęp z mowy arcybiskupa Kapuy kardynała Capocelatro do wychowańców tamtejszego seminaryum duchownego: »Miłość ojczyzny, mówił kardynał jest uczuciem wzniosłem, jest to miłość chrześcijańska, natchniona od Boga do serc ludzkich. Kochać ojczyznę znaczy tyle, co chcieć ją widzieć niezależną i wolną“.

Mówić mu o miłości dla ziemi ojczystej jest to samo, co ślepemu od urodzenia rozprawiać o piękności łąk, pól i lasów rodzinnych. Nie przeznaczam mej pracy dla tych, co tego zmysłu nie mają. Takich jednak jest mało, są to monstra a monstrów natura wiele nie wydaje.

Większość jednak ludzi a nawet księży nie jest pozbawiona tego naturalnego uczucia, tej iskierki świętej, która może przy sprzyjających warunkach zapłonąć czystym, jasnym, ożywczym ogniem. Ci nawet, co rzekomo nie znają innej ojczyzny nad Rzym, kłamią przed sobą. W głębi duszy ich tli gdzieś iskierka święta. Jeżeli mi się uda choć kilka iskierek takich rozżarzyć, będę za mą pracę, w dobrej intencyi podjętą, zupełnie wynagrodzonym. Ale wracajmy do rzeczy.

Śmiało twierdzę, że w naszych warunkach usuwanie się księży od pracy obywatelsko-społecznej jest ogromnie szkodliwem dla kościoła naszego. Przedewszystkiem zniechęca do nas inteligencyę świecką, która czyni nam dużo słusznych zarzutów; sformułować je można w tych słowach: »Nie mamy zaufania do księży, ponieważ nie łączą się z nami w walce, podjętej w imię najświętszych praw narodu. Nie możemy czuć silnego przywiązania do kościoła, którego przedstawiciele służą interesom Rzymu, nie wiele zdają się mieć na względzie potrzeby kraju i powtarzają bez skrupułu: »niech ginie Polska, byle kościół kwitł i rozwijał się«. Wobec takich słów zachwiewa się nasza wiara w to, że kościół, co tak mówi przez usta swych sług, jest Chrystusowym«.

Zarzutom takim trzeba zadać kłam. Stanie się to wówczas tylko, gdy staniemy się kapłanami-obywatelami, gdy porzuciwszy samolubstwo kastowe i pozowanie na powagę, nie będziemy się uważali za istoty, z lepszej gliny stworzone, i oddzielali od społeczeństwa, jak kasta kapłanów egipskich; gdy zbliżymy się do świata nie tylko na gruncie, że tak powiem, oficyalno-religijnym, lecz zjednoczymy się z nim na polu ideałów tak pięknych i sprawiedliwych, jak praca narodowo-społeczna. Wtenczas i powaga nasza w oczach społeczeństwa wzrośnie. Duchowni i świeccy nie będą sobie obcymi, nawzajem nierozumiejącymi się i potępiającymi, lecz zjednoczeni węzłami miłości dla wiary i ojczyzny pójdą zwartym, potężnym szeregiem na bój duchowy z Moskwą i prawosławiem. W takiem zjednoczeniu uczuć religijnych i narodowych widzę siłę i zwycięztwo nasze.

Moc tej łączności wiary z narodowością rozumie rząd rosyjski doskonale, to też stara się tych sprzymierzeńców rozdzielić, by każdego pojedyńczo łatwiej zwyciężyć. Teraz uderza przeważnie na narodowość, przywracając od wstąpienia na tron Mikołaja II większą swobodę kościołowi. Chce tym sposobem księży pozyskać i potem z tem większą pewnością zwycięztwa na polskość uderzyć. W szkole usilnie pracuje

nad przekonaniem nas, że tu »iskoni russkaja ziemla«, żeśmy Rosyanie kotolickiego wyznania. W części praca ta mu się udaje; pośród duchowieństwa ma niemało zwolenników; niech ucisk religijny zmniejszy, a będzie miał ich jeszcze więcej. Za duchowieństwem pójdzie lud. Katolickie więc duchowieństwo posłuży za narzędzie w ręku rządu do narodowego i kulturalnego zjednoczenia nas z Rosyą. Tak się dokona »objedinienije okrain« państwowe, a tam już łatwiej pójdzie zjednoczenie religijne na łonie »prawosławia«. Małżeństwa mieszane staną się rzeczą codzienną i w tempie coraz szybszem poprowadzą do celu przez rząd zakreślonego. Już dziś w parafiach kresowych ilość katolików się zmniejsza z każdym prawie rokiem, nie zważając na przyrost naturalny.

Ten proces »oprawosławienia« dokonywa się na kresach białoruskich. Fakt ten wskazuje że zbliżenie językowe i plemienne ułatwia zjednoczenie się religijne. Z nawracaniem na prawosławie ludu polskiego i litewskiego nie idzie tak łatwo. W interesie więc kościoła leży podtrzymywanie polskiego i litewskiego języka.

Teraz chyba jasnem się staje, dla czego Moskwa od czasu rozbioru Polski usiłuje wyrugować polszczyznę z kościołów naszych i dla czego Papieże temu się opierają. Zbyteczną chyba rzeczą byłoby nadmieniać, że nie patryotyzm polski ale interes kościoła kieruje stolicą apostolską. Już więc ksiądz katolicki, nawet pozbawiony uczuć politycznych, jeśli tylko rozumie interesy kościoła swego, będzie na wzór Rzymu, tej najwyższej dla siebie powagi, bronił i popierał z całych sił swoich polski język, jako szaniec obronny katolicyzmu, jako zaporę prawosławiu i przeciwwagę rosyjskości. Biskup Borowski w liście pasterskim do podwładnych kapłanów i wiernych śmiało powiada: »Język polski jest przedmurzem katolicyzmu i szańcem obronnym przeciwko schyzmie«. Wywieziono biskupa za to na długie lata do Penzy.

Ażeby odłączyć unię od Rzymu, użył rząd, jako środka, odłączenia unii od polskości: »Duchowieństwo grecko-unickie, pisze Siemaszko, powinno być wychowanem w zupełnem przekonaniu, że język rosyjski jest jego ojczystym językiem, a podobne przekonanie nie prędko jeszcze zapuści korzenie, bo język polski cieszy się ogromnem powodzeniem« Plan Siemaszki okazał się bardzo sktecznym. Od czasu wychowania duchowieństwa unickiego w duchu patryotyzmu rosyjskiego wprowadził on powoli język rosyjski w dodatkowem nabożeństwie w kościołach unickich, a w lat 20 po owem piśmie Siemaszki unia kościoła białoruskiego z Rzymem została pogrzebaną.

Ten środek rusyfikacyi kleru, tak skuteczny względem unii, rząd w miarę możności zastosowuje względem katolicyzmu. Pierwszych prób

niebezowocnych dokonał za czasów Żylińskiego. Ostatnimi czasy zrusyfikowano za pomocą biskupa Zerra seminaryum saratowskie, wykłada się tam język niemiecki i rosyjski: niemiecki dla Niemców, rosyjski dla Polaków i Litwinów. Rząd nosi się z myślą uczynienia tego samego z seminaryum mohilewskiem, wileńskiem i żytomierskiem. Uważa to jednak za przedwczesne, a chce zacząć od ustanowienia nowego urzędnika, swego agenta i kontrolora w seminaryach.

Czy projekt ten dojdzie do skutku, trudno przesądzać, przyszłość to pokaże. Biskupi nasi nie wszyscy odznaczają się dalekowidztwem politycznem i odwagą apostolską. Rząd czeka tylko na Siemaszkę łacińskiego i kto zaręczyć może, że nie doczeka się go kiedyś. W naszem duchowieństwie niezliczona moc kandydatów na rolę Siemaszki. Jedni przez renegactwo, drudzy przez ideę nawrócenia Rosyi, inni przez jakiś kosmopolityzm katolicki, inni przez mądrą dyplomacyę a jeszcze inni przez tchórzowstwo gotowi są stać się narzędziem do rusyfikacyi seminaryów, kleru i kościoła. Obecny rektor seminaryum naszego prałat ks. Bajko usilnie zaleca klerykom język rosyjski, przypomina, że jest piękny, wykazuje pożytki z jego posiadania*). »Będziecie pierwszą osobą w towarzystwie rosyjskiem, gdy będziecie mówić wzorowo po rosyjsku«, mówi ks. Bajko do swych wychowańców. Swe sympatye dla rosyjskich przedmiotów poparł ks. Bajko nie samemi tylko słowy, lecz i czynem.

Dawniej, za mego pobytu w seminaryum mógł kleryk przejść z rosyjskich przedmiotów na kurs następny a z duchownych zostać. Obecny ks. rektor wydał rozporządzenie, że kto nie zdał egzaminu z duchownych, zostaje na tym samym kursie i z rosyjskich. Rezultat tego nowego pomysłu rektorskiego jest ten, że nie jeden kleryk zamiast kuć rosyjskie przedmioty przez lat cztery, ślęczy nad nimi lat pięć i sześć i więcej, zależnie od tego, na ilu kursach ma zostać przez dwa lata z przedmiotów teologicznych; drugi skutek tej mądrej reformy jest ten, że gdy dawniej po ukończeniu rosyjskich mógł cały czas i siły użyć wyłącznie dla przedmiotów teologicznych i jakiejś gałęzi nauk świeckich, dziś czas swój musi dzielić i na rosyjskie nauki, musi rozpraszać swe siły na przedmioty państwowe z uszczerbkiem dla duchownych. Czy

*) Że piękny, nie zaprzeczam, chociaż połowa słownika jego to przypomnienie różnych bolesnych albo przykrych zajść naszego życia. Piękny, tak dalece piękny, że „nie ma takiej podłości, którejby mowa rosyjska w płynne i dźwięczne słowa ująć nie potrafiła. Np. zagładę kultury naszej nazywa „objedinienije“, urągowisko z tej zagłady zowie się „primirenje“, bezprawie i samowola kacyków-satrapów nazywa się „administratiwnym poriadkom“, palenie żywcem rodzin unickich „wozsojedinienijem“, topienie kobiet i starców w Krożach „umirotworenijem kraja“. (List otwarty do księcia Uchtomskiego).

księdzu rektorowi nie przyszło na myśl, że więcej byłoby pożytku dla kościoła i społeczeństwa gdyby przyszli kapłani, wolni od urzędowych i urzędniczych lekcyi, poświęcili na polską historyę i literaturę te godziny, których teraz, dzięki jemu, muszą użyć na uczenie się przedmiotów rosyjskich?

Któż tedy winien, że złośliwi ludzie mogą widzieć w ks. Bajce kandydata na przyszłego Siemaszkę łacińskiego, tembardziej, że to osobnik, znany z oporu i z lekceważenia opinii publicznej. Mówi z trójnoga, jak nieomylna wyrocznia pytyjska i potrafiłby złamać wszelki opór księży.

Ta obawa przed Siemaszką łacińskim pobudziła mię do poddania krytyce polityki biskupiej i wogóle samej zasady ślepego względem władz dyecezyalnych posłuszeństwa.

Mam niezachwiane przekonanie, że nie powinniśmy być trzodą, niewiedzącą, dokąd ją pastuch pędzi. Historya bowiem, doświadczenie nas poucza, że pasterze na manowce i na zgubę pędzili nieraz owieczki swoje. Takie ślepe posłuszeństwo, takie szczere lub obłudne uwielbianie każdego kroku biskupa, aprobowanie wszystkich jego czynów na zasadzie, że jeśli biskup tak zrobił, to musiał tak a nie inaczej zrobić, bo biskup wie co robi, taki, powtarzam, brak krytycyzmu może się stać zabójczym dla dyecezyi, jeślibyśmy doczekali się biskupa a la Siestrzencewicz, Masalski, (XVIII. w.), Siemaszko, Żyliński. Unia nie upadłaby, gdyby jej księża mieli wyrobiony jasny, silny sąd i zasady i według nich oceniali działalność Siemaszki. Księża uniccy rozumowali, jak i większość naszych teraz: »Nie nam krytykować pasterzy, biskupi wiedzą, co robią«. Żyliński nie zrobiłby w dyecezyi naszej takiego spustoszenia, gdyby księża nasi mieli wyrobione przekonanie i kryteryum do mierzenia ludzi i rzeczy.

Kościół nasz musi stać nie na osobie biskupa, lecz na całym klerze naszym, gdzie każdy pojedyńczo i wszyscy razem wzięci jednakowo myśleć, czuć i działać powinni dla dobra kościoła i kraju. Losy dyecezyi nie powinny zależeć od takiej lub innej osoby biskupiej, szczególniej u nas, gdzie rząd stara się dobrać sobie »błahonadiożnych« kierowników dyecezyi. Jasną jest rzeczą, że ani rząd, ani przychylny rządowi lub wystraszony biskup czy rządca dyecezyi nic nie zdziała na zgubę kościoła lub ojczyzny, jeśli spotka jednomyślny opór i protest w duchowieństwie. Cokolwiek kiedy rząd zrobił dla osłabienia życia religijnego lub narodowego, zrobił o tyle, o ile pośród księży lub społeczeństwa znalazł posłuszne sobie ślepe narzędzia. Coby to było za szczęście (i radość w Izraelu), gdyby tych narzędzi pośród nas znaleźć nie mógł. Ale są to »pia desideria«. Wrzody każą domyślać się zaka-

żenia krwi, są patologicznym objawem choroby całego organizmu. Takie wrzody jak Żyliński, Tupalski, Niemeksza, Jusiewicz, Ładnowski, Małyszewicz etc. etc. wskazują patalogiczny stan duchowy naszego organizmu duchownego. Nie mogliby oni istnieć, gdyby nie mieli gruntu przygotowanego w postaci ciemnoty umysłowej, nizkości moralnej kleru naszego, i społeczeństwa.

IV.

POLITYKOMANIA NASZA i NASI UGODOWCY.

Co to jest polityka? Jak wygląda ona w stosunkach kościelno-religijnych. — Widoki jej powodzenia u nas w stosunku do rządu. — Co się kryje pod mianem dyplomacyi. Co lepsze walka, czy dyplomacya. — Hasła i nadzieje ugodowców. Stuletnia dążność Rosyi do zdławienia narodu. Rozluźnienie petli i jej zacisnienie Źródło ucisku. Nasz program. Głos ks. Felińskiego.

Udane czy rzeczywiste zaprzaństwo narodowe, uległość rządowi nawet w rzeczach religijnych jest to zjawisko u nas powszechne Nazywamy to dyplomacyą — polityką. Sam wyraz »polityka« jest dla mnie wstrętnym. Czemże bowiem jest polityka, jeśli nie wzajemnem oszukiwaniem się, wyprowadzaniem się w pole, podstępem? Polityka jest zaprzeczeniem etyki chrześcijańskiej. Jeśliby nie codzienne oswojenie się nicby nie budziło takiej moralnej odrazy, jak polityka mężów stanu i tych wszystkich, którzy się w nią bawią. Zostawmy politykę Bismarkom, ministrom spraw wewnętrznych, a nie wnośmy jej do życia religijnego. »Królestwo Boże nie jest z tego świata«, nie powinno więc posiłkować się dyplomacyą tego świata.

Wolę walkę Piusa IX, niż dyplomacyę Leona XIII, który Bismarkowi w swoim czasie udzielił orderu Chrystusa, przez politykę. Pozwolę sobie nawet wyrazić zdziwienie i oburzenie na taka politykę, która podyktowała Watykanowi pominięcie herbu polskiego w kościele Św. Joachima, zbudowanego z ofiar jubileuszowych. Są tam herby wszystkich narodów, państw i państewek*), nie ma tylko naszego orła białego, ani pogoni, chociaż hojnie nasz grosz wdowi nieśliśmy na świętopietrze. Dyplomacya wzięła i tu górę nad duchem ewangelii, która przecież nie pozwala zapierać się maluczkich i słabych, chociażby tego pragnęli potężni mocarze świata tego. Ośmielam się poddać krytyce taką dyplomacyę Rzymu bo przecież papieże w rzeczach dyplomacyi nie są nieomylnymi. Sądzę, że taka polityka czy dyplomacya strąca kościół z jego wyżyn moralnych do rzędu instytucyi czysto państwowych świeckich. Nasza dyplomacya zawiera się w tych słowach Zbawiciela: »Jam jest prawda«. Te słowa naszego mistrza i wzoru wymagają od nas, abyśmy zrzucili

*) Nie wyjmując protestanckich i schizmatyckich.

wszelką maskę i stanęli wobec Boga i ludzi takimi, jakimi jesteśmy, śmiało oddając świadectwo prawdzie, nie troszcząc się o zewnętrzne następstwa.

Jeżeli wogóle polityka w stosunkach międzynarodowych budzi moralną odrazę, to cóż mówić o używaniu jej w stosunkach religijnych? Gdyby nawet przynosiła ona pożytek kościołowi, czemu stanowczo przeczę, to i tak bym ją w imię prawdy potępił, na tej prostej zasadzie, że cel nie uświęca środków. Precz z fałszem, precz z obłudą, precz z dyplomacyą! Ale cóż mówić, gdy polityka przynosi szkodę kościołowi i społeczeństwu. W poprzedzających listach, zdaje mi się, wykazałem szkodliwość takiej dyplomacyi biskupa i rektora seminaryum.

Marzyć u nas o uśpieniu czujności władz rządowych przez politykę lojalizmu i ugodowości, o pozyskaniu przez dyplomacyę obłudną zaufania i ustępstw u rządu, byłoby naiwną dobrodusznością. Jeden z naiprzebieglejszych rządów świata nie da się przedyplomatyzować. Podobno biskup Hołowiński zdołał przedyplomatyzować Mikołaja I. Gdy ten zaproponował przeniesienie akademii duchownej z Warszawy do Petersburga, arcybiskup oparł się temu, a za argument użył obawy, by młódź polska nie zaraziła patryotyzmem polskim duchowieństwa, przeznaczonego dla Litwy i Rusi. Argument przekonał Mikołaja. Ale czasy się zmieniły. Dziś już taki nawet Hołowiński nicby nie wydyplomatyzował, a cóż mówić o tych jego następcach i spółbraciach, którzy doń nie dorośli ani rozumem, ani stosukami, ani względami u samego cara.

Udane wyrzeczenie się ideałów narodowych prowadzi do rzeczywistego zaprzaństwa narodowego. Oko, zawiązane przez dłuższy czas i bezczynne, przestaje widzieć. Władze duchowe i idee, tak jak i organa cielesne zanikają, gdy ich nie wprowadzamy w czyn. Rząd niczego nie pragnie, jak tylko byśmy nie czynili dla narodu nic takiego, co pachnie patryotyzmem i przeciwdziałaniem rusyfikacyi. Czuć i myśleć pozwala nam najswobodniej, byle byśmy tych uczuć i myśli nie wcielali w życie. A nasi dyplomaci właśnie nic nie czynią, chociaż wielu powiada, że czują i myślą patryotycznie. Nic to rządowi nie szkodzi, a i nam nie zaszkodzi, owszem wyjdzie na pożytek, bo nie zamąci spokoju, nie zepsuje apetytu, nie spędzi snu z powiek, ustrzeże od klasztoru i wygnania.

Przyznajmy się szczerze, położywszy rękę na sercu, że w tej naszej ugodowości, zwanej dyplomacyą, nie tyle chodzi o dobro kościoła, ile o bezpieczeństwo własnej skóry. Tchórzostwo, niedołęztwo, sybarytyzm nazywany dyplomacyą, ostrożnością, roztropnością itp. Klasztor, wygnanie jest przecie osobistem nieszczęściem, z którego dla kościoła i kraju może wyniknąć pożytek.

Taki Hryniewicki został wygnany, ale on przez półtora roku zdziałał więcej, niż inni przez dziesiątki lat: przeprowadził moralną dezynfekcyę w duchowieństwie, zaelektryzował masy, wzbudził życie religijne i stał się bohaterem, czczonym przez naród. Chłopi nasi nie znają nazwisk innych biskupów prócz Hryniewickiego. Nie! wygnanie biskupów i księży to nowe zwycięztwo kościoła. Nam serce rośnie z radości, gdy biskup lub kapłan wędruje na wschód pod eskortą żandarmów; znak to, że u nas są jeszcze apostoły wiary i ojczyzny, że są pasterze, co »duszę swą kładą za owce swoje«. Nie to przerażać nas powinno, że Moskale mogą nas zesłać w Sybiru śniegi, lecz to, że nie ma kogo, bo nie ma za co wysyłać. Ofiary dla wiary i kraju nie są straszne: ofiarą świat zbawiony i ofiarą tylko każda wielka dusza zatryumfować może. Chrześcijanie przez trzy stulecia składali na ofiarę setki tysięcy swych męczenników i tem zwyciężyli, »Sanguis martyrum est semen christianorum«. Irlandczycy przez kilka wieków broczyli we krwi i we łzach własnych, a czyż w równouprawieniu ich politycznem i religijnem nie wie widzimy teraz owocu owych ofiar?

Nie knut moskiewski, nie katorga straszna dla kościoła i społeczeństwa naszego, lecz nasze własne niedołęztwo, charłactwo, kretynizm duchowy i zgnilizna wewnętrzna, przywdziewająca na się maskę dyplomacyi, trzeźwości, ostrożności.

Wszyscy o tem wiemy, że w społeczeństwie naszem jest stronnictwo tak zwane ugodowe. Abdykuje ono z niezależności politycznej, decyduje się iść z Rosyą ręka w rękę w jedności państwowej, zastrzegając sobie nietykalność wiary, języka i kultury. A kiedy im wskaże się, jak Rosya traktuje naszą wiarę i język, radzą cierpliwość i twierdzą najmocniej, że Rosya kiedyś uszanuje nas, jako naród, i da nam możność swobodnego rozwoju. W duchowieństwie naszem ten prąd ugodowy jeszcze żywszy i silniejszy. Nie jestem ci ja prorokiem i nie wiem, co będzie w przyszłości, wiem tylko, co było i co jest. Widzę, że przez sto lat przeszło nie widzimy zwrotu w kierunku humanitaryzmu. Owszem, widzimy, że rząd coraz bezwzględniej dąży do zagłady naszej narodowości i nie zwiastuje zwrotu ku lepszemu.

Katarzyna II wysyłając na Litwę pierwszych generał-gubernatorów, Czernyszowa i Kreczetnikowa, dała im taką instrukcyę, w której streszcza się program polityki rosyjskiej wobec nas: »Demoraliser, dépopulariser et decatholiser« (zadaniem waszem jest demoralizować, wynaradawiać i odciągać od katolicyzmu). Mikołaj I. był nieodrodnym potomkiem północnej Semiramidy.

W tomie XXIV rocznika 1878 r. wydawnictwa »Russkaja Starina«, w artykule: »Zapiski Zyrkiewicza« czytamy »...po rozmowie ze mną

zwrócił się cesarz do p. Gonorałopa (gubernatora białostockiego) ze słowy: »Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz postępować z Polakami. Żywym tego przykładem będzie książe Dołgorukow. Miej na rękach żelazne rękawice«. Wierny swej wiekowej tradycyi rząd rosyjski z nieubłaganą logiką dąży do zdławienia narodowości polskiej i dławi ją ręką, opatrzoną w żelazną rękawicę. Tradycya ta polakożercza przeszła w krew i kości wszystkich carów i ich ministrów.

Na czem ugodowcy opierają swe nadzieje, to już ich tajemnica. Kiedy Mikołaj drugi rzucił kilka ochłapów łaski carskiej, jak zniesienie kontrybucyi za rok 63, zniesienie modlitwy rosyjskiej w szkołach przed i po nauce, uwolnienie od cerkwi w galówki, większa swoboda w budowaniu kościołów, pozwolenie na wzniesienie pomnika Mickiewicza w Warszawie; ugodowcy widzieli w tem już zwrot polityki rosyjskiej względem kresów, urządzili przyjęcie Mikołajowi w Warszawie i złożyli serca narodu przez usta Wielopolskiego u stóp cara. Ale od czasu bytności Mikołaja w Warszawie łaski ustały, owszem, szeregiem rozporządzeń i czynów nowych rząd starał się powetować sobie poczynione nieopatrznie ustępstwa. Język polski usunięto z tych prywatnych instytucyi, gdzie przetrwał dotychczas, np. w Towarzystwie kredytowem w Warszawie; nad szkołami prywatnemi w Królestwie rozciągnięto jeszcze czujniejszą kontrolę; przetrząśnięto ogródki freblowskie (szkoły poglądowe dla małych dzieci) i ostro zakazano tam uczyć dzieci starszych nad lat siedm; w Wilnie wzniesiono pomnik dla Murawiewa i z nadzwyczajną pompą go odsłonięto; Imeretyński i w ślad za nim Trockij w najpoddańszych memoryałach wystąpili z szeregiem projektów ku zrusyfikowaniu kraju; asygnowano jeszcze większe sumy na budowę cerkwi, pomimo że i te, co są, pustkami stoją; zwiększono sumy na poparcie szkółek cerkiewnych; 60.000 rs. przeznaczono na zwiększenie policyi i żandarmeryi w Królestwie itp. Ugodowcy nasi spuścili nosy, a nasz *Kraj* (bodaj słusznie nazywany przez wielu organem rządowym, wydawanym w języku polskim) stracił trochę kredytu w naszem dobrodusznem społeczeństwie, stracił podstawę do bałamucenia opinii publicznej i musiał ratować się wprowadzeniem ilustracyi dla przynęty prenumeratorów.

Chwilowo rząd rozluźnił petlę na szyi narodu, by ją potem tem mocniej zacisnąć. Nie pierwsze to i nie ostatnie rozluźnianie petli. Dziś już nawet gdyby car który, spowodowany większem poczuciem sprawiedliwości, zechciał wziąć w opiekę naród pokrzywdzony, nie mógłby tego uczynić dla tej przyczyny, że samowładztwo carów rosyjskich jest obecnie bajką, w którą tylko dzieci wierzą. Potężna klasa urzędnicza ujęła ster państwa w swe ręce i kieruje niem, bacząc li tylko na inte-

res własny. Klasa ta panuje nad narodami ujarzmionymi, tamuje rozwój narodu własnego, kieruje carem i posługuje się nim, jako narzędziem dla interesów kastowych. Czy można dziś myśleć aby ta biurokracya rosyjska zmieniła system polityczny, który daje im takie Eldorado w Królestwie i na Litwie?

Są u nas jeszcze ludzie naiwni, co przypisują taki stan rzeczy powstaniu 31 i 63 roku. Zapytam ich dla czego system rusyfikacyjny zaczęto stosować w prowincyach nadbaltyckich, zkąd miał rząd najgorliwszych satrapów i wykonawców swej woli? Niemcy nie robili powstania, mogą służyć za wzór lojalności. Dla czego od paru lat ostatnich rząd zaczyna gwałcić, zmieniać konstytucyę Finlandczyków, którą nawet despotyczny Mikołaj I uszanował? Dlaczego? Przecie Finlandya nie myślała o powstaniu.

Dla mnie jest rzeczą jasną, że nie powstania wywołały ucisk, lecz ten duch azyatycko-despotyczny, ten szowinizm i biurokratyzm rosyjski, który nie znosi swobody, nie cierpi tego, co nie rosyjskie i nieprawosławne. Bezwątpienia rok 31 i 63 posłużył za znakomity pretekst do dławienia narodu; zamiast posuwać się o jeden krok, oni w ciągu roku posunęli się odrazu o sto, stało się trochę pierwej to, co musiałoby się stać trochę później, ale to postaci rzeczy wcale nie zmienia. Rząd chce wziąć duszę narodu, bo ciało już zabrał*) chce i do tego dąży z bezwzględnością, w żadnem z państw spółczesnych i dawniejszych nie widzianą.

Jakież wobec tego ma być nasze względem rządu stanowisko? Streszczę je w tych słowach. Nie możemy nigdy zaufać rządowi, bo trzeba być chyba bezgranicznie naiwnym, żeby choć na chwilę przypuścić, że rząd ten nie swoje lecz nasze interesa ma na widoku. Zdać się na łaskę i niełaske rządu — jest to stać się ślepem narzędziem obcej dla nas polityki, a na to zgodzić się nie możemy pod karą samobójstwa narodowego. Wszelkie ustępstwa rządu należy uważać nie jako wynik jakiegoś zwrotu, wywołanego poczuciem sprawiedliwości, lecz jako skutek sytuacyi politycznej w Europie lub środek do kupienia duszy narodu. Nas zaspokoić może albo zupełna niepodległość, lub do czasu rozległa autonomia, gdyż wówczas tylko przestaniemy być strawą dla zasilania organizmu rosyjskiego.

Posłuchajmy, co mówi biskup Feliński w swych pamiętnikach na wygnaniu: »Prawa narodów do niepodległego bytu są tak święte i niewątpliwe, a wrodzona miłość ojczyzny tak głęboko wyryła je w sercu każdego prawego obywatela, iż żadne sofistyczne rozumowania nie są w stanie wygluzować ich w masie narodu. Skażone lub obałamucone

---

*) Rzecz tę wyjaśnia broszura; „Fikcye ugodowe“.

jednostki mogą wprawdzie zrzec się tych praw dobrowolnie, łudząc zaborców, że to czynią w imieniu całego narodu, głosy wszakże takie nie odbiją się nigdy żywem echem w sercu ludu; brzmieć owszem będą zawsze jak fałszywa i wstrętna nuta. Ci zaś, co ją głoszą, pozostaną zawsze w sumieniu narodu podłymi zdrajcami. Wszyscy prawi Polacy nietylko chcą być wolni i niezależni we własnym kraju, ale wszyscy są przekonani, że mają do tego niezaprzeczone prawo i nie wątpią, że pierwej czy później u celu swych pragnień staną i będą znowu samoistnym narodem. Kto nie żąda niepodległości lub o możności odzyskania jej zwątpił, ten nie jest polskim patryotą, tego ta umęczona i bolejąca ale pełna życia matka nie zna już za swego syna.« (Pamiętniki, wydanie krakowskie 1897 na str. 99).

Niestety! wielu, wielu z nas ta bolejąca matka nie zna już za syny swoje!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIE ROZUMIEMY SIĘ?

(List z zaboru pruskiego).

Publiczne przyjęcie, jakiego doznała odezwa „Ligi narodowej“ tak, jak tego spodziewać się należało, wypadło chłodno, a nawet nieprzychylnie. Myślącej części społeczeństwa objaw ten nie zastanowi. Legalna nasza prasa, sympatyi swoich z nowym ruchem narodowym, zmierzającym bezpośrednio do zorganizowania sił i dążeń do niezależności politycznej, jawnie zaznaczyć nie może, nie chcąc narazić się na prześladowanie najdotkliwsze. Innej prasy — przynajmniej w zaborze pruskim, natomiast nie mamy. Z przywyknienia, które w chroniczną już przechodzić poczyna nieudolność, pisma nasze straszą następstwami popierania prasy nielegalnej, zapominając, że nie ma dnia, w którymby im samym woda za kołnierz coraz obficiej się nie lała. Nie trudno zrozumieć, że w wielu przypadkach interes materyalny nakładców wymaga — legalności, że w innych przypadkach omawianie spraw naszych w tonie, przez rządy zaborcze tolerowanym lub stosownie przystrzyżonym, gdzie się rozchodzi o przemysł, sztukę, wreszcie i o język polski, na biedę wystarczy. Apostołowie ci legalizmu zapominają, wszakże, że przemysł, sztuka a nawet obrona języka ojczystego nie obejmuje wszystkiego, do czego my jako naród dążyć mamy prawo i do czego, w sposób legalny czy nielegalny, w gruncie rzeczy istotnie dążymy.

Odpowie ktoś może, że półgłówek chyba w obecnych warunkach marzyć będzie zamiast o przemyśle i t. p. organicznych potrzebach, o jakichś spiskach nieprodukcyjnych. Na to tyle w odpowiedzi.

Jeżeli tylko o zapewnienie sobie bytu materyalnego starać nam się należy, to w pewniejszy sposób cel ten osięgniemy — pod chorągwią hakaty. Nie przeszkodzą nam na tym punkcie bynajmniej jakoweś słabostki do t. zw. języka ojczystego. Jeżeli się szczerze pozbędziemy aspiracyi do niezależności politycznej, rządy zaborcze pielęgnowaniu mowy polskiej nie staną na przeszkodzie. Widać to dowodnie na pruskich Mazurach i Ślązakach, których polskość tolerowano aż do ostatniej chwili t. j. do chwili ujawnienia się wśród nich agitacyi na rzecz niezależnej Polski.

Zresztą, zdaje się, że myśl, iż nie dla Polski, tylko dla kultywowania języka martwego, żyję i pracuję, energią życia natchnąć nie jest w stanie.

Na to, aby ucisk na każdym kroku cierpieć i tysiączne przeciwności codziennie zwalczać, bez materyalnej korzyści i bez nagrody w rodzaju sławy — potrzeba silniejszej podniety, a może nią być jedynie wiara w lepszą przyszłość, rozumowo uzasadnione przeświadczenie, że środki, którymi się posługujemy, nie zawiodą. Wiara ta, spoczywająca na dnie każdej żyjącej duszy polskiej, wiecznie jak oliwa na wierzch wydobywać się będzie w formie dopóty nielegalnej, dopóki na drodze dozwolonej tamowaną będzie.

Domaganie się ujawnienia osób, Ligą Narodową kierujących, zdaje się być czemś niemądrem i nieuczciwem. Czasy średniowiecznej rycerskości minęły, a nowoczesne pojęcia rycerskości, które pozwalają zarówno oficerowi ukryć się w czasie bitwy po za plecy swych podkomendnych, jak piszącemu po za dowolny pseudonim, nie wymagają chełpliwości biblijnych Goliatów. Zresztą nie o osoby rozchodzić się może. Sprawa narodu całego jest dość wielką i silną, aby i najmniej popularne osoby uzbroić taką powagą, jakiej żadne legalne wybory i tytuły żadne nadać nie są w stanie.

Najwięcej samodzielnie z kłopotliwego stanowiska, w jakie odezwa prasę legalną wprawiła, wywiązał się *Orędownik*, oświadczając zwięźle, że „nie rozumiemy się“. Przyznać należy, że różnica zapatrywań pomiędzy narodem a prasą legalną w ostatnim czasie coraz to większą być poczyna, że poczynamy na dobre „nie rozumieć się“. Mylny tylko ztąd wniosek, że to koniecznie twórcy odezwy są tymi, którzy „nas“ nie rozumieją. Nikt nie dowiódł dotychczas, że lepiej pojmuje prądy, ogół nasz przenikające. Wprost

niesłychany wzrost liczby czytelników takiej *Gazety Grudziądzkiej* lub *Pracy* nie polega wyłącznie na umiejętnej reklamie, lecz niemniej na jawniejszem wypowiadaniu myśli o niezależności politycznej narodu. Niestety, kres tych jawniejszych występów pism pomienionych oznaczają sądy pruskie i prokuratorya. Gdyby nie kary i nagabywania, znaleźlibyśmy i w zaborze pruskim pisma, wypowiadające to, co odezwa Ligi narodowej głosi, t. j. głoszące potrzebę cywilnej organizacyi zdeklarowanych sił narodowych i narodowego pogotowia — na wszelkie ewentualności. Brak pism tego rodzaju w żadnym razie nie dowodzi, że „się nie rozumiemy“, a co najwyżej świadczy o tem, że nie wszyscy się wypowiadają na zewnątrz, że nie wszystko wypowiadać można. Podobnie jak myliłby się ten, ktoby z rozpraw sądów i z urzędowania władz pruskich w języku nie naszym chciał wnosić, że nas tu nie ma, tak samo mylą się ci, którzy z milczenia ogółu w sprawach, poruszonych przez odezwę Ligi Narodowej, chcieliby wnosić, że „się nie rozumiemy“.

Co do ważności lub nagłości pojedyńczej sprawy mogą się zdania rozchodzić. Wolno n. p. komuś rozumować powierzchownie, że to, do czego w okresie lat najbliższych, w okresie dajmy na to lat 20 dążyć może Liga Narodowa, jest szerzenie idei narodowej i demokratycznej i ztąd wysnuwać wniosek, że i handel orzełkami polskimi, lub wykład w towarzystwie przemysłowem idei tej niemniej służy.

Wolno również twierdzić, że — wy, którzy Ligi chcecie tworzyć, wprzód nam tu z Królestwa i Galicyi przyślijcie agronomów na praktykę do Poznańskiego, że wprzód należy się *tylko* starać o utrzymanie żywszej łączności społecznej i umysłowej pomiędzy dzielnicami, ***nic więcej***!

Tej skromności z jaką p. Vester poprzestaje na tak małem, nikt za złe mu nie weźmie, tak samo, jak się nie bierze za złe nikomu posiadania zamiast dwóch ócz, u ludzi normalnych spotykanych, tylko jednego oka.

Po przez wszystkie te uwagi prasy poznańskiej przebija się jak gdyby żal utajony, że nikogo z reprezentantów jej nie powoływano do rady i współudziału. Niesłuszny to żal.

Prasa tak samo w zaborze pruskim, jak gdzieindziej, inne ma zadania do spełnienia, niemniej ważne, niemniej trudne, ale inne. Odnosi się zwłaszcza do zaboru pruskiego. Prasa tutejsza, a w każdym razie obecni jej kierownicy nie okazują ani skłonności, ani uzdolnienia do pracy szerszego zakroju w rodzaju Ligi Narodowej.

To samo powiedzieć można — ogółem biorąc — i o inteligencyi naszej. Niedawno temu jedna z najpoważniejszych instytucyi polskich, chcąc przybrać cechy wszechpolskie i pragnąc mieć reprezentanta swego w zaborze pruskim, szukała go daremnie. Prezesa kolonii wakacyjnych w Poznaniu od biedy się jeszcze znajdzie, ale dla „Sokoła“ już go pozyskać nie można pośród inteligencyi, a o przyznaniu się do innej, mniej „legalnej“ instytucyi — nawet nie myśleć!

Że pod względem narodowych aspiracyi mało się rozumiemy, dowodzi chociażby to, iż o p. Witołdzie Leitgebrze, redaktorze *Gazety Ostrowskiej*, uwięzionym pod zarzutem zdrady stanu za współudział w sprawie Skarbu Narodowego, prasa nasza zaklęcie milczy, że nikt mu najmniejszego objawu współczucia, zainteresowania się jego osobą, lub sprawą, dla której cierpi, nie objawi.

O niemieckim gimnazyaście Winterze, zamordowąnym rzekomo przez żydów — pełno. Miesiącami całymi długie łamy zapełniamy — przedrukami z gazet niemieckich o niegodziwości Anglików, a dzielności Burów. A przecież tak piękna sposobność do omówienia stosunku naszego do Skarbu Narodowego, do omówienia tak ważnego tematu w granicach „legalnych“, chociażby. chociażby najbardziej okrojonego.

Niemogąc się poszczycić własnymi owocami pracy t. zw. organicznej, prasa nasza już sięga po zasługi — obce.

Praca poznańska, mówiąc o błogich skutkach pracy „organicznej“, honor zaboru pruskiego, a specyalnie Poznania ratować chce faktem, że śląski Niemiec, jakim jest p. Miarka w Mikołajowie, znaczną liczbę dzieł Słowackiego drukuje. Ale „polscy“ patryoci w postaci Brockhausów i Miarków nie ochronią naszej polityki utylitarnej przed pociągnięciem jej do odpowiedzialności publicznej, nie cofną zapozwu trybunału narodowego, za którego stołem zasiadają, jako sędziowie nie redaktorzy poznańscy, lecz owi nieznani Ligi Narodowej i podobnych organizacyi twórcy i stronnicy.

Maręda.

PRZYPOMNIENIE.

Nasi badacze przeszłości, a za nimi politycy lubią powtarzeć zdanie, że historya jest nauczycielką życia. Często nawet przypisują temu nauczycielstwu zbyt wielkie znaczenie. Wobec takiego pojmowania i nieraz

przeceniania zadań historyi narodowej, tymbardziej dziwnym jest fakt zupełnego niemal zaniedbania najnowszej epoki naszych dziejów. Boć jeżeli historya jest mistrzynią życia, to w historyi porozbiorowej leżą najbliższe przyczyny tego, co się dziś dzieje i co w dostępnej przewidywaniom politycznym przyszłości dziać się będzie. Doświadczenia wieków odległych, w innych warunkach dokonywane, mogą dawać tylko analogie ciekawe, ale pozbawione zazwyczaj wartości praktycznej.

Gdzieindziej obok badaczów zamierzchłej przeszłości, widzimy liczne zastępy historyków, pracujących w sposób naukowy nad dziejami najnowszemi. Nawet piśmiennictwo rosyjskie, chociaż skrępowane wymaganiami cenzury, posiada sporo cennych prac, poświęconych dziejom drugiej połowy XVIII i XIX wieku. Tylko nasze piśmiennictwo w zakresie dziejów porozbiorowych, z wyjątkiem szczupłej liczby liczby sumiennych prac monograficznych, składa się z pamfletów politychnych, zarówno dalekich od metody, jak i od bezstronności naukowej.

Zaznaczaliśmy fakt ten niejednokrotnie, a przed rokiem poświęciliśmy sprawie, o której mówimy, obszerniejszą wzmiankę z powodu ustanowienia przy Muzeum Narodowem w Rapperswylu stypendyum historyczno - literackiego, z inicyatywy współredaktora naszego pisma, p. Romana Dmowskiego. Zachęcając do składek na to stypendyum, pisaliśmy wówczas (Nr. 8. r. 1899)

»Dla nas dzieje ostatniego stulecia mają o wiele większe, niż dla innych, znaczenie, przeżyliśmy bowiem przez ten wiek więcej, niż jakikolwiek inny naród, a zmiany, jakie w tym okresie w naszem położeniu nastąpiły, są większe, niż w jakimkolwiek innym kraju. Są to zmiany granic państwowych na naszym gruncie, systemów politycznych, urządzeń prawnych, stosunków ekonomiczno-społecznych, warunków rozwoju kultury narodowej, stopnia działania wpływow obcych, rozkładu energii narodowej na poszczególne dzielnice i warstwy społeczne, prądów myśli politycznej i kierunków czynnej polityki idt., itd. Gruntowne zrozumienie tych wszystkich zmian, a ztąd źródła stanu obecnego naszego życia, jest niezbędnym warunkiem zdrowego pojmowania zadań politycznych chwili dzisiejszej. Można z całą słusznością powiedzieć, iż żadnemu narodowi tak, jak naszemu, nie potrzeba należytego zrozumienia wypadków politycznych ostatniego stulecia w ich przyczynach i skutkach«.

Wezwanie do składek miało skutek niewielki. Prasa codzienna zamilczała o nowem stypendyum, mającem na celu ułatwienia młodym uczonym badania dziejów porozbiorowych, publiczność zaś nasza, dająca chętnie składki, gdy je ktoś zbiera, sama jest zbyt leniwą i nieporadną,

ażeby je gdzieś tam do Raperswylu posyłać. Suma, dotychczas zebrana, wynosi zaledwie 1254 franki.

Niepowodzenie składek na stypendyum nie oznacza jednak, że świadomość potrzeby badania dziejów najnowszych nie istnieje. Przeciwnie, ta świadomość staje się coraz żywszą, coraz wyraźniejszą i możemy dziś zanotować dwa znamienne jej objawy.

Organ młodzieży demokratyczno-narodowej, *Teka* zamieściła w Nr. 3. artykuł, nawołujący do »odmłodzenia historyi« i zawierający poglądy, podobne do wypowiedzianych w naszem piśmie.

»W przeciągu tych ostatnich stu lat stawał przed społeczeństwem polskiem cały szereg zagadnień pierwszorzędnego znaczenia. Od rozwiązania ich zależyć miał w danej chwili cały kierunek polityki narodowej, a o rozwiązanie to kusiły się pierwszorzędne talenty, politycy wielkiego serca. Aby znaleźć na te zagadnienia trafną zbawienną dla narodu odpowiedź, składali w ofierze siły swe, mienie a nawet i życie. W dziejach ostatniego stulecia rozciąga się przed nami cały szereg wybuchów, spisków, prób traktowania z wrogiem, a nawet ugody.

»Tak — od pierwszego zaraz rozbioru przedsiębrano ze strony Polaków mnóstwo prób porozumienia się z jednem z państw.

»Z drugiej strony usiłowania Polaków, czy to na sile oręża, czy na układach dyplomatycznych oparte, nie zostawały bez odpowiedzi ze strony rządów zaborczych, które częstokroć w mistrzowski sposób umiały zużywać je do celów swojej polityki.

»I znowu cały szereg faktów, dla polityki państw zaborczych znamiennych, od zdrady pruskiej po Konstytucyi 3 go maja, od bezlitosnego wyzyskiwania i oszukiwania partyi litewskiej pod Ogińskim przez Aleksandra, aż do prowokacyjnej a zarazem denuncyatorskiej roboty Prus wobec Królestwa kongresowego, roboty, którą na nowo prowadzić usiłował Bismark w 63 roku.

»Próby te prowadzili ludzie nierównej miary, od tak gorących patryotów, od mężów tak wybitnych, jak Dąbrowski lub Ignacy Potocki, aż do ostatnich płatnych paszkiewiczowskich służalców«.

Teka zwraca uwagę na to, że w sprawach polskich głos ostatni i prawie zawsze jedyny mają cudzoziemcy, nasi bowiem historycy i pisarze polityczni dziejów ostatniej epoki nie znają dokładnie. Nie ma o nich pojęcia należytego i ogół inteligentny, czerpiący wiadomości z broszur polemicznych i pamfletów lub z nieudolnych zwykle kompilacyj, które, bez względu na swój charakter zachowawczo-ugodowy lub demokratyczno-patryotyczny, są również tylko pamfletami.

Niemal jednocześnie z wystąpieniem *Teki*, w referacie, wygłoszonym na zjeździe historyków i częściowo tylko, ze względów cenzural-

nych, wydrukowanym w *Bibliotece warszawskiej*, dr. Szymon Askenazy docent uniwersytetu lwowskiego, wykazał przekonywająco i wymownie konieczność badania i opracowania naukowego dziejów porozbiorowych przynajmniej do r. 1831.

»Jest czas najwyższy — pisze p. Askenazy — wziąć się nareszcie na całej linii, z całem wytężeniem, całym impetem, do pełnej i szczerej roboty naukowej koło dziejów porozbiorowych. Są one u nas, i tylko u nas, ciągle uważane niemal za spółczesność jeszcze, jakoby niedojrzałą dla umiejętnych badań, są ciągle ostrożnie omijane, niby czysta jeszcze, jakoby żarząca się polityka. To jest złudzenie!«... Tutaj jest pusty wyłom, który opatrzyć potrzeba, zwłaszcza, że »na szalę historycznego sądu o tych dziejach Niemcy, Rosyanie, Francuzi rzucają bez przerwy całe łaszty imponujących wydawnictw i opracowań źródłowych największej wagi. My sami nie kładziemy nic, albo prawie nic«.

»Tutaj jest szeroka szczerba pomiędzy nauką a życiem, pomiędzy dziś a wczoraj, którą potrzeba wypełnić. Potrzeba i to głównie dla oświecenia własnego ogółu. W wyczerpujących, metodycznych, a rzeczowych badaniach nad epoką, o której mowa, on powinien odnaleźć nareszcie złożony tam dla niego obfity zasób wielolicznych, tak drogo okupionych, a tem szacowniejszych doświadczeń. Ta epoka, to jest jedna olbrzymia retorta, wewnątrz niej prawie wszelkie znachodzą się związki. Wewnątrz niej prawie są wyczerpane wszelkiego rodzaju eksperymenty. Eksperyment odbudowania państwa przez każde z osobna z trzech mocarstw rozbiorowych. Eksperyment odbudowania przy udziale niezawisłego mocarstwa. Eksperyment próbnej na krzyż administracyi, od pruskiej w Warszawie i austryackiej w Zamojskiem, aż do rosyjskiej w Tarnopolskiem. Eksperyment spiskowy od Gorzkowskiego aż do podchorążych. Eksperyment emigracyjny od Hotelu Diesbach do Hotelu Lambert. Eksperyment ugodowy każdego odcienia, od najwyższych koncepcyi Czackich, Staszyców, Lubeckich, schodząc po mnogich szczeblach aż na dół, do praktyki Ilińskich, Różnieckich, albo Szaniawskich. To wszystko już było. Czyliżby było nadaremnie?«

»A tak będzie póty, póki to wszystko nie przestanie być jeno mglistą reminiscencyą, dowolnym domysłem, albo zupełną niewiadomą, nie zostanie ujęte w kształty realne i ścisłe drogą najstaranniejszej, najszczegółowszej, a często przedmiotowej rekonstrukcyi naukowej. I wieleż to, zaprawdę, oszczędzonoby takich błędów myśli i czynu przeciwnych interesowi, albo przeciwnych godności, błędów szkodliwych, albo zgoła niedorzecznych i, co najgorsza, powtarzanych, zatem podwójnie daremnych i zbytecznych, gdyby znano należycie te właśnie dzieje, gdyby ta właśnie nad niemi ściśle naukowa robota została dokonaną,

jak oddawna była powinna. Skoro zaś nie została dotychczas, tem bardziej potrzeba wziąć się do niej co rychlej i co żwawiej, aby odzyskać stracony teren i zaniedbany odrobić obowiązek«.

»Tembardziej, że w tej tak zaniedbanej naukowo i zamroczonej dziedzinie kryją się między innymi zaczątki polityki administracyjnej, szkolnej i unickiej rządu rosyjskiego, wszechstronnie odtąd w guberniach zachodnich rozwiniętej, zaczątki oraz kulturnej samoobrony społeczeństwa, zaczątki wreszcie obustronnych prób polubownego porozumienia, kryje się, koniec końcem, rdzeń sprawy odporności cywilizacyjnej i samej racyi bytu żywiołu polskiego śród nowych warunków prawnopolitycznych na Litwie i Rusi«.

Nawet w tej epoce, której kres stanowi rok 1831, znajdujemy podstawy wszystkich niemal zagadnień politycznych. A przecie i epoka późniejsza, bezpośrednio z zadaniami chwili bieżącej związana, nadaje się do badania naukowo-historycznego.

Młodzież polska po artykule *Teki*, którego warunki w innem miejscu podajemy, złożyła skromny fundusz na 3 nagrody konkursowe i ma już podobno zapewniony w części fundusz na wydanie prac nagrodzonych. Ogół inteligentny, którego ta sprawa zarówno dotyczy, powinien zdobyć się także na czyn realny i poprzeć inicyatywę młodzieży, a jednocześnie zasilić fundusz stypendyalny, przy Muzeum w Raperswylu utworzony. Stypendyum można będzie wypłacać, gdy fundusz wyniesie przynajmniej 50.000 fr. Nie jest to wcale suma wysoka na nasze stosunki. Dawaliśmy i dajemy więcej na cele mniej ważne. Nie wątpimy że suma potrzebna byłaby w krótkiem czasie zebraną, gdyby szersze warstwy społeczeństwa o istnieniu takiego funduszu stypendyalnego wiedziały, gdyby im o nim przypominano.

Z CAŁEJ POLSKI.

Uroczystość jubileuszowa i jej charakter. Dyplomacya krakowska, wobec uniwersytetu warszawskiego i Ślązaków. Wybory i sojusz z centrum. Kilka uwag w sprawie polityki polskiej w zaborze pruskim.

Obchód pięćsetnej rocznicy założenia a raczej odnowienia Wszechnicy Jagiellońskiej stał się uroczystością narodową, wbrew woli tych, którzy obchodem kierowali. Uroczystością narodową w całem znaczeniu tego wyrazu nie zaś manifestacyą polityczną, bo o to właśnie chodziło, żeby niedopuścić kierowników obchodu do urządzenia *sui generis* manifestacyi ugodowej. Przygotowana w Petersburgu i Warszawie w porozumieniu ze stań-

czykami krakowskimi komedya braterstwa polsko-rosyjskiego w nowem, zmienionem wydaniu, została zaniechaną. Stało się to dzięki wczesnemu wykryciu zabiegów p. Piltza. Wystąpienie kilku pism i uczącej się młodzieży, która wyraźnie zagroziła, że na manifestacyę ugodową odpowie kontr-manifestacyą, bez względu na to, że ta druga zakłóci charakter uroczysty obchodu – odniosło skutek przewidywany.

Obawa wywołania awantury i — jak nas zapewniano — *Wink von Oben* ze strony władzy w kraju i z Wiednia, skłoniły polityków krakowskich do zaniechania zamiaru. Na kilka dni przed uroczystością poleciały do Warszawy i Petersburga telegramy i listy, odwołujące manifestacyę. Wskutek tego odwołania pp. Baranowski, Spasowicz, Piltz pozostali w granicach szerszej ojczyzny i nie zaszczycili obecnością swoją Krakowa.

Jak wiadomo, organizatorowie obchodu w inny jeszcze sposób zaznaczyli swój lojalizm i swoje rosyjskie sympatye. Najwybitniejszym objawem krakowskiego rozumu politycznego było zaproszenie na uroczystość uniwersytetu warszawskiego, a raczej zawiadomienie go o tej uroczystości. Po obchodzie, kiedy się okazało, że uroczystość udała się wspaniale, chociaż przybrała charakter poważnej manifestacyi narodowej i kiedy uczeni cudzoziemcy dodali naszym mężom stanu odwagi i patryotyzmu, haniebny fakt wystosowania pisma do uniwersytetu warszawskiego, jeszcze kilka lat temu niemożliwy, starali się stańczycy zręcznie usprawiedliwić. I — co dziwniejsza — najgorliwszego obrońcę p. Tarnowski znalazł w korespondencie krakowskim *Kuryera lwowskiego*. Nie dziwimy się redakcyi, że w natłoku wiadomości okolicznościowych nie zwróciła uwagi na tę wzmiankę, zaznaczamy jednak fakt na pozór drobny, bo jest on znamiennym dla prasy galicyjskiej. Nieznajomość stosunków i sposób redagowania pism za pomocą nożyc sprawiają, że dzienniki galicyjskie wbrew swej woli i swoim przekonaniom, stają się organami propagandy kierunków politycznych, które w rozumowanych artykułach zwalczają. Nie ulega n. p. wątpliwości, że stronnictwo socyalistyczne a zwłaszcza p. Daszyński w znacznej mierze zawdzięczają swoją popularność takiej mimowolnej reklamie ze strony pism wrogich, które w kronikach i nawet artykułach powtarzały niekrytycznie zmyślone nieraz fakty, mające dowodzić szczególnej przebiegłości i sprężystości organizacyi socyalistów lub anegdoty o imponującej, iście demonicznej inteligencyi ich przewódcy, o jego wspaniałej wymowie i t. d. Podczas miodowych miesięcy polityki ugo-

dowej w Warszawie i później, do dziś dnia nawet, pisma galicyjskie, polityce tej z zasady wrogie, powtarzały bez komentarzy sfabrykowane *ad hoc* przez ugodowców wiadomości o rzekomych ulgach, o zamiarach Imerytyńskiego, o walce, jaką car toczyć musi z reakcyjnem otoczeniem, reklamy dla kuratoryów trzeźwości i teatrów ludowych i t. d. Nie można się temu dziwić, wiedząc, że *Dziennik poznański* lub *Kraj* są kopalnią wiadomości o zaborze rosyjskim dla pism galicyjskich, które nie posiadają w liczbie swych współpracowników ludzi, znających dobrze stosunki tamtejsze. Oto np. z całą świadomością zredagowana fałszywie w *Kraju* wiadomość o rozszerzeniu programu wykładów języka polskiego w szkołach obiegła całą prasę polską i dzisiaj bywa przy sposobności powtarzana, chociaż już dawno wykazywano jej kłamliwość.

Korespondent *Kuryera lwowskiego* wypisuje taki panegiryk dla patryotyzmu i zdolności dyplomatycznych kierowników uroczystości jubileuszowej.

»Na każdym kroku trzeba było łamać trudności, roztrącać zapory, wynikające z naszego stanowiska w państwie i stosunku do dwóch innych zaborów. To liczenie się i przeliczanie, to oglądanie się na wszystkich i wszystko, to konieczne nieraz uwzględnianie sytuacyi tam, za kordonem, wyciska piętno Kaina (?) na każdej narodowej uroczystości«.

Te wszystkie »zapory i trudności« są urojone. Nie potrzeba było wcale oglądać się i liczyć z niemi, skoro nie zamierzano urządzać manifestacyi politycznej, a nadanie obchodowi wyraźnego charakteru narodowego, ogólno-polskiego, mogło co najwyżej wywołać nie groźne dla nikogo skrzywienie się w Wiedniu.

Niezbyt jasny ustęp, wyżej przytoczony, jest przygotowaniem czytelnika do oczyszczenia i nawet apologii hr. Tarnowskiego. Z najpewniejszego źródła wiemy, że politycy krakowscy chcieli zaprosić uniwersytet warszawski, chociaż z Warszawy zwracano im uwagę na to, że taki postępek dotknie boleśnie i oburzy społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim. Panowie krakowscy nie dali jednak za wygranę i posłali uniwersytetowi warszawskiemu zawiadomienie. Dodać trzeba, że znaczna większość uniwersytetów tylko podobne zawiadomienia otrzymała, a jednak niektóre z nich chociaż nie zaproszone delegatów przysłały. Uczeni „obrusitiele“ warszawscy, którzy zarówno nieprzejednanych, jak pojednanych Polaków nienawidzą, pogardliwie odtrącili tę niespodziewaną dla nich samych uprzejmość.

O tem wszystkiem demokratyczny wielbiciel hr. Tarnowskiego i taktu stańczyków nie wspomina, zaznacza tylko, że zaproszenia nie wysłano i powtarza podszepniętą mu zapewne legendę *ad majorem gloriam* krakowskich mężów stanu.

„Zaproszenia wysłać nie można było, bo wszechnica ta jest z małym wyjątkiem, posterunkiem »obrusitieli«, szumowin od Bajkału do Krymu, — szukających w Polsce ujścia dla swoich szerokich natur i karyer. Zdarzyćby się mogło, że perekińczyk prof. Filewicz siedziałby jako delegat obok ludzi, których serce przejmowały patryotyczne dreszcze. Z Petersburga zapytano o powód... Wówczas hr. Tarnowski wpadł na pomysł iście dyplomatyczny i doprawdy rzadko zręczny. Odpowiedziano, że uniwersytet warszawski jest rosyjskim, — a z rosyjskich wybrano tylko stołeczne... Panowie w Petersburgu mieli usta zamknięte, — a my ręce wolne“.

To już nie kłamstwo, ale pospolite i niedorzeczne łgarstwo, w które chyba tylko kumoszki krakowskie uwierzyć mogą“. Z Petersburga zapytano o powód“... Kto, kogo i w jakiej drodze, bo gdyby rząd rosyjski pytał, byłoby to faktem, niesłychanym w stosunkach międzynarodowych, byłoby niepraktykowanem zuchwalstwem, na które nie ma dosyć dobitnej odpowiedzi dyplomatycznej. Chyba więc p. Piltz, jako poufny agent rządu rosyjskiego poufnie zapytywał p. Tarnowskiego. Rząd rosyjski ma zanadto rutyny dyplomatycznej i poczucia godności własnej, żeby mógł zadawać takie głupie pytanie, a i p. Tarnowski zdobyłby się na rozsądniejszą i godniejszą Polaka odpowiedź, niż przypisany mu niefortunny koncept reporterski. Przyznawanie przez Polaka rosyjskości uniwersytetowi warszawskiemu i pozbawianie go charakteru „stołecznego“ byłoby zresztą nie pomysłem dyplomatycznym, ale nikczemnym wykrętem.

Znajdą się zapewne i tacy, którzy w nieograniczonej głupocie politycznej lub w chęci pozyskania łaski hrabiowskiej usprawiedliwiać będą inny, niestety, prawdziwy dyplomatyczny pomysł p. Tarnowskiego, z zasady, że powinniśmy „liczyć i przeliczać, oglądać się na wszystkich i wszystko“. Na kilka dni przed obchodem zjawiło się w Krakowie kilkuset Górno-Ślązaków, przeważnie robotników i włościan, których delegaci złożyli w darze wszechnicy krakowskiej wykute z węgla kamiennego popiersie Jagiełły. P. Tarnowski „obejrzał się“ na kardynała Koppa, „policzył się“ z hr. Gołuchowskim i z innymi tegoż rodzaju dyplomatami »uwzględnił sytuacyę za kordonem« pruskim — i w pogardliwy

sposób odtrącił piekny i ze szczerego serca ofiarowany dar braci ślązkich, odmawiając im miejsca w pochodzie i w kościele, bo obchód pięćsetnej rocznicy uniwersytetu nie jest manifestacyą polityczną.

Zasmuceni i rozgoryczeni wrócili Ślązacy do domu, a ludzie, znający stosunki tamtejsze, twierdzą, że dyplomatyczny pomysł p, Tarnowskiego jest dotkliwym ciosem dla rozwoju sprawy narodowej na Górnym Ślązku.

To haniebne — trzeba rzeczy nazywać po imieniu — nie polskie i nieludzkie postąpienie z delegacyą górno ślązką było ciemną plamą na jasnem tle uroczystości jubileuszowej. Takich plam „zręczni“ i „dyplomatyczni“ kierownicy uroczystości chcieli zrobić więcej, próbowali np. nie dopuścić ludu wiejskiego do udziału w obchodzie, ale tu pokrzyżowali im plany „samozwańczy“ komitet obywatelski i — o zgrozo — przedstawiciel władzy, namiestnik hr. Piniński. Komitet urządził pochód na Wawel, a p. Piniński zniósł rozporządzenie policyi, która zakazała banderyi krakusów udziału w uroczystości. Z pochodem wcześniej już pogodzili się z konieczności stańczycy, a z banderyą pogodził ich ostatecznie profesor Pelissier z Montpellier, który, zapominając o uczonej powadze, aż podskoczył na widok krakusów, rzucił w górę beret i wzniósł okrzyk powitalny.

Dzięki cudzoziemcom pogodzili się stańczycy i z narodowo-manifestacyjnym charakterem uroczystości, sami nawet rozgrzali się trochę i tylko hr. Tarnowski zachował posągową pozę lichego aktora prowincyonalnego i olimpijski spokój na swej iście arendarskiej (przez grzeczność mówi się w Krakowie — iście hetmańskiej twarzy. Gościom zagranicznym zaimponował niezwykle liczny i gorący udział ludności w obchodzie. Nawet Niemcy, chociaż w ich kraju nauka i uniwersytety cieszą się większem, niż gdzieindziej, poważaniem wśród ludności, mówili, że tak licznego i powszechnego udziału w uroczystości nie spodziewali się nigdy. Pod wrażeniem tej manifestacyi narodowej profesor Osthof, Niemiec, wygłosił gorącą mowę, którą zakończył zapewnieniem, że Polska nie zginęła i nie zginie. Dyplomaci krakowscy byli trochę zgorszeni „nieprzyzwoitem“ zachowaniem się szanownego profesora który ażeby wygłosić mowę wlazł na stół, a bardziej jeszcze „nieprzyzwoitemi“ jego słowami, niewłaściwemi w tak poważnem towarzystwie. Ale kiedy i inni dostojni cudzoziemcy z szacunkiem i sympatyą mówić zaczęli o żywotności narodu polskiego, o jego zasługach dla cywilizacyi i sprawy wolności, o jego

prawach niewątpliwych, drgnęły i w nich serca, zwłaszcza że minister Hartel dał *placet* urzędowe patryotyzmowi polskiemu.

Przez dzień cały a zwłaszcza wieczorem roiły się ulice tłumami ludności. Licznie zebrana na rynku publiczność otoczyła pomnik Mickiewicza, przed którym ucząca się młodzież odśpiewała pieśni narodowe. Cudzoziemcy nie gorszyli się tem wcale, co ostatecznie przekonało krakowskich mężów stanu, pozujących na Europejczyków, że manifestacye narodowe nie są widocznie uważane w prawdziwej Europie na rzecz zdrożną.

W sali Hotelu Saskiego studenci urządzili wielki komers, na którym poruszono sprawę odrzucenia daru Ślązaków. Ma się rozumieć młodzież potępiła „zręcznego dyplomatę“ a oburzenie było tak powszechnem, że nawet członkowie arystokratycznej i wiernopoddańczej wobec władz uniwersyteckich „Jagellonii“, w zgodzie z innymi krzyczeli: „pereat Tarnowski“.

Ten protest młodzieży, we właściwym czasie i miejscu wniesiony, nie zakłócił powagi i spokoju uroczystości. Nie probowali go również zakłócić specyalni *turbatores chori* — socyaliści. Dopiero na drugi czy na trzeci dzień „młodzież postępowa“, czyli inaczej, wstydząca się nazwy socyalistycznej, urządziła zebranie, na którem słusznie potępiono p. Tarnowskiego i niesłusznie całą uroczystość i uniwersytet jagielloński. Również „postępowa“ w specyalnem znaczeniu tego wyrazu „Spójnia“ paryska obwieściła niė ciekawemu wcale jej zdania społeczeństwu polskiemu, że nie solidaryzuje się z uroczystością krakowską. Z tego komunikatu, „postępowców“ paryskich jak również ze wzmianek w pismach socyalistycznych, przyznających się do właściwej nazwy, badacze dziejów oświaty w Polsce dowiedzieli się ciekawej rzeczy, a mianowicie że akademia jagiellońska wskutek opanowania jej przez jezuitów, upadła pod względem naukowym. Dotychczas było wiadomem, że akademia, mniejsza o to z jakich pobudek, prowadziła zaciętą walką z jezuitami i ich szkołami. Erudyci „postępowi“ zrobili niespodziewane odkrycie, że w akademii jezuici zajmowali katedry i wogóle rządzili tą instytucyą. Bodaj to traktowanie historyi bez takich przesądów, jak ścisłość, sumienność, znajomość rzeczy.

Wybory do sejmu pruskiego w okręgu tucholsko-chojnicko-człuchowskim w Prusiech Zachodnich, a następnie w okręgu leszczyńsko-wschowsko-rawicko-gostyńskim w Poznańskiem dały powód do poruszenia w prasie raz jeszcze stosunku politycznego Polaków do centrum i wogóle do Niemców katolików. W pier-

wszym okręgu Niemcy katolicy przy ponownem głosowaniu nie poparli kandydata polskiego, a nawet niektórzy pomogli kandydatowi liberalnemu, który zwyciężył jednym głosem. W okręgu drugim Niemcy katolicy, obrażeni na Polaków za to, że postawili swego kandydata, głosowali na żyda Wolfa, który też przeszedł. Ma się rozumieć, po wyborach w pismach polskich, zwłaszcza tych, które załatwiają sprawy polityczne frazesem, zjawiły się płaczliwe narzekania na „zdratę“ centrum. W odpowiedzi na te zarzuty *Germania* zamieściła artykuł, wykazujący cyfrowo, że w czterech powiatach, tworzących okręg wyborczy, Polacy mają wprawdzie nieznaczną większość (79.644 na 155.525 mieszkańców) ale ponieważ głosują przeważnie w 3 klasie, więc żadnego posła wybrać nie mogą. Polacy z Niemcami katolikami liczą w tym okręgu 103.395 głów, Ale wskutek systemu klasowego i geometryi wyborczej z Niemcami nawet sprzymierzeni nie mogą, zdaniem *Germanii*, mandatu zdobyć. Przy wyborach do parlamentu z powiatów leszczyńskiego i wschowskiego Polacy (20.794) nawet przy pomocy Niemców katolików (19.381) nie przeprowadzą też posła. (W r. 1893, co prawda w wyjątkowych okolicznościach, przeprowadzili jednak). Natomiast Niemiec katolik przechodzi większością 800 głosów.

Organ centrum dosyć wyraźnie daje do zrozumienia, że Niemcy katolicy nie będą w takich okręgach liczyć się z Polakami. Mówią oni Polakom: głosujcie na Niemca katolika, bo jeżeli będziecie się upierali przy swoim kandydacie, my oddamy głosy nawet liberałowi, nawet żydowi. Dziwić się takiemu postawieniu sprawy ze strony centrum nie można, natomiast dziwić się trzeba naiwności naszych polityków, wciąż jeszcze spodziewających się, że stronictwo, którego interes wymaga zaznaczania patryotyzmu niemieckiego i które jest dziś w pewnej mierze rządowem — inaczej będzie postępowało. Może zresztą centrum i dziś nawet spuściłoby z tonu, gdyby czuło naszą siłę, gdyby się nas obawiało. Ale cóż — w odpowiedzi na wybory w Prusiech Zachodnich i Poznańskiem, po śmiesznych wyrzekaniach na zdradę, po wypowiadaniu uroczystem sojuszu i dziecinnych pogróżkach — Polacy na Górnym Ślązku, w okręgu czysto-polskim wybierają bez zastrzeżeń Niemca-katolika. Z organizacyi wyborczej w okręgu leszczyńsko-wschowskim *Germania* poprostu drwi sobie — i słusznie. Postawiono naprzód kandydata, którego nie spytano nawet, czy wybór przyjmie, a gdy się cofnął, mianowano na prędce innego, nieznanego wcale w 4 powiatach i nie zawiadomiono o tem Niemców.

Zebrań przedwyborczych, na które mogliby przyjść Niemcy, nie urządzono. Znaczna część wyborców polskich nie stanęła do głosowania, nawet księża nie przybyli. Jakiś gospodarz polski skarzy się na to samo w *Orędowniku*, zaznaczając, że i paru Polaków głosowało na Wolfa.

„My polscy wyborcy bardzośmy się wszyscy żalili na komitety wyborcze, że nas tak późno przez pisma polskie zaproszono na zebranie do hotelu Nietschego.

„Mimo to zebraliśmy się tam na godzinę 9, stoimy, czekamy, już się prawie godzina 10 zbliża, a tu z komitetu nikt się nie odzywa, żeby nam powiedzieć, na kogo głosować. Nagle zjawił się na sali jakiś pan i tylko krótko powiedział: głosować na Mycielskiego z Kobylopola! — i nic więcej.

„Więc widać, że tu już nie ma polskich panów i my chłopi jeno sami tutaj żyć musimy“.

Istotnie, niewielu tam już zostało polskich panów, ale ci nieliczni i wespół z księżmi, którzy na głosowanie nie przyjeżdzają, decydują o sprawach wyborczych. Rzecz jasna, że taka organizacya musi być niedołężną, że Niemcy katolicy mają prawo ją lekceważyć.

Inaczej patrzyłoby centrum na sojusz z nami, gdybyśmy mieli sprężystą organizacyę polityczną i wyborczą, zastosowaną o warunków dzisiejszych, do potrzeb tych warstw ludności, które przedstawiają siłę narodową w zaborze pruskim. Taka organizacya, z komitetem centralnym na całe Niemcy na czele, ale przedewszystkiem z czynnymi, z uświadomionych politycznie obywateli złożonymi komitetami w parafiach i powiatach, pozwoliła by nam dopiero zawierać korzystne sojusze wyborcze. Dziś jesteśmy w takich sojuszach zawsze wyzyskiwanymi, jak musimy być wyzyskiwanymi w sojuszach parlamentarnych wobec tego, że Koło polskie jest nieliczną grupą, złożoną w znacznej części z ludzi niedołężnych, nie mających wyraźnej myśli politycznej, ani ścisłego związku z masą wyborców.

Gdyby centrum wiedziało, że dzięki naszej organizacyi politycznej i świadomości możemy go pozbawić nietylko kilku mandatów w Prusiech Zachodnich i Poznańskiem, ale przedewszystkiem na Górnym Śląsku, a nawet w niektórych okręgach westfalskich i nadreńskich — liczyło by się z naszą siłą, z naszemi żądaniami.

To samo powiedzieć można o stronnictwach postępowych (wolnomyślnem i socyalistycznem), z któremi sojusz zalecają autor

artykułu w *Głosie* warszawskim i w pewnej mierze *Dziennik berliński.* W dzisiejszych warunkach wszelkie sojusze z niemi byłyby dla nas równie szkodliwe, jak sojusz z centrum. Przedewszystkiem są to, nie wyłączając socyalistów, stronnictwa narodowe niemieckie. Zwolennicy sojuszów z niemi mogliby chociaż z londyńskiego *Przedświtu* dowiedzieć się coś niecoś o »socyalhakatystach«. Sprawa sojuszu ze stronnictwami postępowemi łączona bywa ze sprawą opozycyi bezwzględnej, która, zdaniem wielu, powinna stanowić rdzeń działalności politycznej posłów polskich. Istotnie wobec stosunku do nas rządu opozycya bezwzględna byłaby teoretycznie właściwą, ale praktycznie wtedy tylko miałaby jakieś znaczenie, gdyby w parlamencie — o sejmie pruskim nie mówimy, bo w nim większość antyrządowa jest niemożliwą — Koło polskie było silniejszem liczebnie, albo gdyby rząd niemiecki był istotnie parlamentarnym. W tym ostatnim wypadku nawet słaba liczebnie grupa mogłaby w sprzyjających okolicznościach obalać gabinet i wpływać pośrednio na powstawanie innych kombinacyi ministeryalnych, pomyślniejszych dla nas.

Dziś nasza polityka parlamentarna powinna być polityką wolnej ręki. Nie znaczy to wcale, że powinna stać na stanowisku wyłącznie narodowem, przeciwnie, jak trafnie wykazał *Orędownik* takie stanowisko nie może nam dziś wystarczyć w pracy publicznej:

»Mamy w zaborze pruskim:

»1) zakres praw narodowych zakreślony traktatami wiedeńskiemi i prawami przyrodonemi,

»2) zakres materyalnych i duchowych interesów, które naszą siłę żywotną stanowią, a które są zawarunkowane od prawodawstwa, instytucyi i publicznych urządzeń krajowych, jako też od poziomu ogólnej kultury, która rozwija się do pewnego stopnia, także niezależnie od rządu, parlamentu i policyi.

»3) zakres swobód politycznych, zależnych od zasadniczych artykułów konstytucyi pruskiej i niemieckiej i od postępowego rozwoju prawodawstwa krajowego.

»Nie potrzeba długo dowodzić, że w dziedzinie ostatnich dwóch zakresów — a więc nie na tak zwanem czysto narodowem stanowisku — toczy się rzeczywista walka o wyrobienie i utrzymanie siły żywotnej narodu naszego«.

Ale zaraz po tem *Orędownik* słusznie dodaje:

»Bezwzględnie nie można jednak tego uważać za dogmat naszej polityki narodowej i trzeba sobie zdać z tego dokładniej-

szą sprawę, żebyśmy czasem sprawy narodowej nie zatopili w ogólnym postępie społecznych i politycznych idei, bo i to jest możliwe«.

W drugim artykule *Orędownik* powtarza ostrzeżenie, dodając, że postępowe ideje propagują »główne żydzi i socyaliści, dla których z zasady polska kwestya narodowa musi stać na drugim planie, a na pierwszym kosmopolityczny interes postępu i kultury. I tego właśnie przy propagandzie postępowych idei politycznych i socyalnych trzeba nam się strzedz, żebyśmy sprawy narodowej nie zepchnęli na tory kosmopolitycznego postępu. Badajmy ten postęp i te ewolucye socyalne, bo ogół naszej inteligencyi ma mało pojęcia o tem, badajmy go ściśle, bo tylko jeszcze przy jego pomocy może się naród polski ostać wobec konkurencyi politycznej i socyalnej innych narodów, ale badajmy go tak, żeby z niego brać to, co może wyjść na realną korzyść żywiołu polskiego, żeby sprawa polska nie tonęła czasem w jego kosmopolityzmie, który dla narodowości polskiej jest tak samo wrogim, jak germanizacya przez państwo lub kościół«.

Nie trzeba zapominać, że stronnictwa postępowe, (ówcześni narodowo-liberalni inni byli niż dzisiaj) dały w Niemczech inicyatywę do walki kulturnej i prześladowania narodowości polskiej, że dzisiaj wielu socyalistów jawnie dąży do germanizacyi robotników polskich. Ma się rozumieć, nie wynika z tego wniosek, że nie powinniśmy popierać stronnictw postępowych. Przeciwnie, ich działalność parlamentarna jest dla sprawy naszej korzystną i nie tylko w takim ciasnym zakresie, w jaki wtłacza tę korzyść *Orędownik*, mówiąc, »że Polacy powinni popierać stronnictwa postępowe przy takich sprawach, z których my Polacy możemy także korzystać pośrednio w miarę naszej inteligencyi i kapitału, a więc tam, gdzie nasz interes narodowy materyalnie zyskiwać może. Im więcej przez to wzmocnimy nasz byt materyalny, tem samem tem lepiej zabezpieczymy narodowość naszą, o której sami musimy myśleć, bez względu na to, czy nam więcej lub mniej ograniczą nasze prawa narodowe«.

Ale przedewszystkiem pamiętać trzeba, że działalność parlamentarna w polityce polskiej w zaborze pruskim ma wogóle nie wielkie dziś znaczenie. Punkt ciężkości tej polityki, jej główne zadanie leży w agitacyi narodowej i pracy narodowej, społecznej, oraz kulturalnej, jak najszerzej pojmowanej, a w tym zakresie działalności publicznej nie możemy mieć żadnych sojuszników. Bo w tym zakresie każdy kompromis jest abdykacyą ze stanowiska narodowego, chociażby wzmacniał »nasz byt materyalny«.

J. L. Jastrzębiec.

Z PARANY.

Paraquana) 2. maja.

III.

Przyszłe losy języka polskiego w Paranie. — Czy się Polacy tutejsi wynaradawiają? — Zepsucie języka — Brazylijszczenie się i jego przyczyny. — Warunki rozwoju polskiego życia kulturalnego. — Zdolność asymilacyjna społeczeństwa brazylijskiego. — Rola innych żywiołów napływowych Możliwe zmiany polityczne w przyszłości i ich znaczenie. Nasze zadania w południowej Brazylii.

Sumienna i trzeźwa obserwacya, przy pewnej bezstronności, wystarcza zupełnie do oceny położenia ekonomicznego naszych osadników w Paranie. Dosyć jest umieć i chcieć patrzeć oraz posiadać mniej więcej poważną znajomość życia, ażeby rozumieć, że kraj ten nie jest ani piekłem, ani rajem, jeno wcale dobrym kawałkiem powierzchni naszej planety, pierwotnie wprawdzie zagospodarowanym, nieumiejętnie i niesumiennie rządzonym, ale przy pracy i rządności dającym nietylko chleb tym, co go szukają, lecz i względną zamożność. Nędza — niedochodząca zresztą do żebractwa, którego tu właściwie nie ma — spotyka tylko emigrantów, wyjątkowo niedołężnych fizycznie, pijaków, lub też szczególnie niezaradnych i nieumiejących liczyć grosza. Między ludźmi rozsądnymi a bezinteresowanymi nie powinno być poważnych różnic w zapatrywaniu się na tę stronę kwestyi, wobec łatwości zbadania nieskomplikowanych stosunków ekonomicznych kraju.

Inaczej rzecz się ma z odpowiedzią na pytanie: czy możliwe jest tu zachowanie a właściwie utrwalenie się w użyciu języka ojczystego i utrzymanie innych znamion narodowych?...

Rozstrzygnięcie tego zagadnienia nie trudne jest, ale poprostu niemożliwe. Można tu co najwyżej zebrać i uporządkować jako tako materyał do rozumowania, pozwalający na uniknięcie pustej, bezpodstawnej gadaniny i dający względną możność oceny czynników, sprzyjających lub przeszkadzających pożądanemu rozwojowi sprawy. Śmiałe wyrokowanie dziś jeżeli nie jest niedorzeczne, to w każdym razie jest szkodliwe Odmawianie polskości w tym kraju wszelkich widoków na przyszłość prowadzi lekkomyślnie do zabicia w zarodku usiłowań, mogących doniosłą rolę w życiu naszem odegrać. Ogłaszanie zaś *urbi et orbi* o zdobyciu terytoryum parańskiego zraża z jednej strony ludzi mających trochę dobrego smaku i nie lubiących śmieszności, która w danym razie spada na całe społeczeństwo, z drugiej zaś przedstawia przed obcymi w fałszywem, przesadnem świetle rolę naszą w tym kraju i utrudnia poważną działalność, zanim się ta narodziła. Traktując sprawę realnie, unikając złudzeń, a stwierdzając to, co istnieje w rzeczy samej, zyskujemy wszechstronnie, bo nietylko samym sobie umożliwiamy zro-

zumienie naszych zadań i obowiązków, ale ułatwiamy położenie nasze na zewnątrz, a zwłaszcza wobec rządzącego żywiołu brazylijskiego, dla którego osadnictwo polskie takie, jakie jest i jakie być może, jest tylko korzystne pod każdym względem. Gdybyśmy pamiętali, że społeczeństwa nie wprowadza się na nowe drogi puszczaniem baniek mydlanych, uniknęlibyśmy niejednej szkody i straty sił próżnej.

Należy sobie przedewszystkiem jasno zdać sprawę z dzisiejszego stanu rzeczy. Czy Polacy parańscy nie zatracają języka, z którym przyszli z Europy? czy język ten tam, gdzie się zachowuje, nie psuje sie zanadto pod obcymi wpływami? Używając zaś niezupełnie odpowiedniego w nowym świecie terminu europejskiego, należy zapytać: czy się nasi osadnicy w Paranie wynaradawiają?... Odpowiedź na to pytanie można dać z góry, nie jadąc do Parany. Muszą się wynaradawiać. Jakżebyśmy chcieli, ażeby przybysze do obcego kraju, stanowiący w nim mniej więcej 20 prc. ludności, będący przeważnie analfabetami, rządzonymi i wyzyskiwanymi przez innych, nie wdrożonymi do organizacyi, do samopomocy i samorządu, nie mający poczucia swej godności narodowej i swej wartości kulturalnej, pozbawieni prawie całkiem kierownictwa ze strony ludzi inteligentniejszych swego szczepu, jakżebyśmy chcieli, żeby ludzie ci nie ulegali wpływowi obcej, jakkolwiek nizkiej kultury. Polacy parańscy dziś wynaradawiają się, jakkolwiek powoli, co nie przeszkadza przyznać, że żywioł polski wykazuje tu znaczną żywotność.

Zaczynając od wpływów, jakim podlega język, używany przez całą masę osadników polskich, łatwo nam zrozumieć, że przybyszowi polskiemu do Brazylii brak wielu wyrazów na oznaczenie wyrazów na oznaczenie rzeczy, dla niego nowych. Przyroda i życie tutejsze zawierają mnóstwo przedmiotów, na które język nasz nazwy nie posiada, lub takich, dla których mamy nazwy tylko w języku ludzi oświeconych, wyrazy, które z książek przeszły w żywą mowę. Nadto chłop nasz w kraju, żyjąc na najniższym szczeblu kultury narodowej, nie znał mnóstwa przedmiotów wyższego użytku, a tem samem nie znał ich nazwy, tu zaś, poznając przedmiot, musiał przyjąć i nazwę miejscową, którą, zresztą, według polskiej fonetyki dziwnie czasem przerobił. Z powyższych przyczyn sosna brazylijska nazywa się »pinior« (*pinheiro*), kukurydza tutejsza (mais) — »milija« (*milho*), czarny szablak — »fiżon« (*fijao*), brzoskwinia »peska« lub »pyska« (*pesca*, *pecego)*, tygrys (a właściwie jaguar) — »tygier« (*tigre*), tapir — »anta«, sęp *urubu* — »korwa« (*corvo*), papuga — prawidłowo lub »papagaj« (*papagaio*), papużka — »pierekita« (*periquito*) i td. (nie wymieniamy całego mnóstwa zwierząt i roślin); ogrodzone pastwisko, zastępujące oborę i staj-

nię — »portera« (*porteira*), grunt pod uprawę po wypalonym lesie — »rosa« (*roca*), sklep z najpospolitszym towarem, będący zarazem karczmą — »węda« (*venda*), izba manipulacyjna, magistrat — »kamra« (*camara*), marka stemplowa i podatkowa — »sela« (*sello*), rząd stanowy — »gubernia« (*governo*) itd., itd. Tak samo nie można się dziwić, że dawny chłop bezrolny, który nigdy własności nieruchomej nie miał, a ztąd nigdy aktów rejentalnych nie spisywał, tu rejenta »tabelionem« (*tabelliao*), jak że biedak, który nigdy ciastek nie jadał, mówi tu na ciastko — »dose« (*doce*). Nietylko więc odmienność nowego kraju od starej ojczyzny wpływa na zanieczyszczenie języka rodzinnego naleciałościami (w tym wypadku jest to raczej zbogacenie go nazwami na przedmioty, które ich nie miały), ale i nizka stopa życia prywatnego i publicznego naszego chłopa w kraju, skutkiem czego przyjmuje on tu obce wyrazy na rzeczy, mające od dawna dobre nazwy w języku polskim.

Znamienna różnica istnieje pomiędzy starym osadnikiem z Prus Zachodnich, a świeżym z Królestwa. Ostatni, pomimo niedawnego względnie pobytu w Brazylii, przyjął więcej bodaj wyrazów portugalskich, niż pierwszy, co się objaśnia tem, że tamten przyszedł do Brazylii z wyższą kulturą, znając wiele przedmiotów wyższego użytku, na które miał gotowe nazwy.... niemieckie. Czasem zauważa się wpływ pierwszych na język ogólnie używany. Jeżeli np. chłop z Królestwa nie przyjął wyrazu portugalskiego na oznaczenie wyborów (do ciał prawodawczych), to tylko dlatego, że przybysze z Prus i Poznańskiego, mający już praktykę życia konstytucyjnego, wprowadzili nazwę »welunki« (*Waehlung*)*). Trzeba wszakże z drugiej strony zauważyć, że przybysze z Królestwa, najmniej ze wszystkich dzielnic dotkniętego przez obce kultury, często wpływają dodatnio pod względem językowym na sąsiadów swoich z innych dzielnic. Osadnicy np. z zaboru pruskiego, mieszkający między świeższymi przybyszami z Królestwa, mówią o wiele czystszą polszczyzną, wolniejszą od germanizmów. Słowacy z Bukowiny (z tamtejszych kolonii), których tu sporo, zupełnie się spolszczyli pod wpływem otoczenia.

Powyższe wpływy ujemne na język nie mają większego znaczenia, polegają bowiem tylko na wprowadzeniu nowych wyrazów, i to zmienionych przeważnie według naszej fonetyki, (czasem tylko zdarza się usłyszeć zwrot portugalski, np. »każdy jeden« — *cada um*, — zamiast »każdy«),

*) Wyraz „tak„ na oznaczenie twierdzenia prawie całkiem tu zanikł, zastąpiony przez niemieckie „ja", na co wpłynęli nietylko przybysze z zaboru pruskiego, ale i z północnych powiatów Królestwa, w których obrzydliwe „*ja*" pod wpływem niemieckim dawno już się wkradło.

budowa zaś języka pozostaje polską, o ile, jak u części osadników, nie podlega w Europie silnemu wpływowi niemczyzny. Zatracenie mowy ojczystej może tu nastąpić tylko, jak zresztą wszędzie, przez stopniowe odpadanie poszczególnych jednostek od tutejszej polskiej społeczności. Odbywa się ono, niestety, w rozmaitej mierze i pod rozmaitymi wpływami.

Najgorzej pod tym względem sprawa stoi w Kurytybie i wogóle po miasteczkach. W stolicy stanu dzieci polskie i dorastająca młodzież bardzo często mówią między sobą po portugalsku i w wielu wypadkach język polski służy tylko do porozumienia się z rodzicami. Nie mówię już o rodzinach mieszanych, polsko-brazylijskich, polsko-niemieckich i polsko-włoskich, gdzie dzieci wyjątkowo tylko ję yk polski znają. Zdarzyło mi się spotkać w Kurytybie warszawiaka, przybyłego przed laty dziewięciu, żonatego z Polką, wcale niegłupiego, przyzwoitego i zamożnego rzemieślnika, który z pewnym trudem już mówił po polsku. Tłómaczył to tem, że interesy prowadzi z samymi prawie Brazylijczykami, czasu na rozrywki nie ma, więc mało ma sposobności mówić po polsku. Bardzo to ciekawa ilustracya do położenia polskości w stolicy stanu.

Po koloniach, leżących nietylko w pobliżu miast, ale i w głębi lasów, zdarza się nieraz spotkać dorastającą młodzież, mówiącą między sobą po portugalsku. Chłopcy, którzy byli przez dłuższy czas w służbie u rodzin brazylijskich lub na robotach między Brazylijczykami i nauczyli się nieźle języka, zawsze niemal mówią między sobą po portugalsku. Jestto szczególnie charakterystyczne dla miejscowych »elegantów«, którzy, przetarłszy się między Brazylijczykami, nabywają nieco fantazyi, przyczepiają ostrogi, narzucają na ramiona »palę« (rodzaj pledu, zwykle w jasne i ciemne pasy, z otworem w środku na głowę, jak w ornacie) i udają »fazendeirów«, a przynajmniej »kaboklów«. Takich można spotkać na każdej prawie kolonii.

Objawy te będą zrozumiałe, gdy się weźmie pod uwagę, czem jest właściwie społeczność polska w Paranie.

Do Parany przyszli z Polski prawie wyłącznie chłopi, najpierw z Prus Zachodnich, gdzie inteligencyi polskiej prawie wcale nie było, potem z zachodniej Galicyi, gdzie dzisiejsza szkoła ludowa była tylko w początkach swego rozwoju, na ruch ludowy zadatków jeszcze nie było, a zato istniała silna tradycya roku 1846 (wychodzcy są z powiatów jasielskiego, tarnowskiego, krosieńskiego i in.) następnie z Królestwa Polskiego, gdzie barbarzyńskie warunki polityczne powstrzymują u ludu rozwój pojęć obywatelskich i stawiają przegrodę między nim a szerszem życiem narodowem.

Opuszczając kraj ojczysty, nasz chłop nie wywozi przywiązania do warunków społecznych, w których wyrósł. U wychodzców ze wszystkich dzielnic czuć się daje silna nienawiść do »panów«, przez których bardzo często jeszcze rozumieją wszystkich ludzi inteligentnych zamożnych, żyjących na wyższą stopę. Przez drogę z kraju do Brazylii, ile razy spotykali się z Polakiem nie chłopem, tyle razy byli oszukani, obdarci i jeszcze zelżeni, a jeżeli im się zdarzyło spotkać wyjątkowo kogo uczciwego, to im się zdawało przynajmniej, że ich oszukał lub chciał oszukać. Tu na miejscu, o ile zjawiał się między nimi ktoś inteligentniejszy, to także przeważnie po to tylko, żeby ich oszukać i wyzyskać, a w najlepszym razie uczyć ich w niezgrabny i upakarzający sposób rozumu lub poprostu popatrzyć na nich i odjechać, jak, między innymi, niżej podpisany.

W tych warunkach śród osadników naszych poczucie odrębności chłopskiej niejako się wzmocniło i wytworzyła się swego rodzaju społeczność polsko-chłopska, starająca się usunąć od siebie ludzi z pewną inteligencyą. Dążenie to tak wyraźnie się zaznacza, że np. przy obsadzaniu miejsca nauczyciela więcej widoków ma ten, kto mniej umie, czasami taki, co nie umie nawet pisać ortograficznie. Kierunek ten podtrzymują, jak zwykle w takich wypadkach, sprytniejsze figury z typu pokątnych doradców, którym zależy na tem, żeby im nikt nie przeszkadzał bałamucić i wyzyskiwać ogółu. Wyrobiło się do pewnego stopnia pojęcie, że Polak tutejszy nietylko jest, ale i powinien być chłopem (to znaczy człowiekiem niezbyt oświeconym, niezbyt zamożnym, fizycznie na chleb pracującym). Widok bogatego Brazylijczyka, Niemca lub Włocha jest tu całkiem naturalny, ale Polak, który się dorobił, jest innym rodakom solą w oku.

— Turczykowski — powiadają — teraz kiepsko stoi, nikt u niego nie kupuje Dobrze mu tak. On był takim chłopem, jak my, a jak mu szło, to się w pana zaczął bawić. Turczykowska już nie mogła sama »kaszasu«*) nalewać, tylko sobie chłopaka trzymała. Teraz pójdą z torbami, pójdą.

Nawet od księdza wymaga się tu przeważnie, żeby nie był zanadto cywilizowanym człowiekiem. Patrzy się pobłażliwie na karciarstwo, pijaństwo, rozpustę (zjawiającą się nawet w potwornych formach), znam wypadek, gdy tolerowano i nie myślano o pozbyciu się księdza, o którym cała parafia mówiła, (zdaje się, że nie bezzasadnie), iż dzieci swe nowo-narodzone morduje ale nie wybaczą proboszczowi, gdy do parafian wódki nie przepija, gdy niezawsze drzwi jego stoją otworem dla

*) *Cachaça* — wódka z trzciny cukrowej, z ogromną ilością fuzlów, będąca powszechnym tutaj trunkiem.

mających czas na pogawędkę, gdy trybem życia zanadto się od ogółu różni.

Stosunek tej nowej, pierwotnej, ale czysto-polskiej społeczności do Brazylii i Brazylijczyków jest dosyć skomplikowany i nie daje się zwykłymi szablonami wymierzyć. Brazylijczyk jest przedewszystkiem zbyt odmienny rasowo, jest dla naszego chłopa za czarny, żeby mógł go do siebie ciągnąć. Stopa życiowa tych Brazylijczyków, z którymi się nasz osadnik styka, jest za nizka, ażeby mogła imponować, przeciwnie, wzbudza na ogół pogardę i szyderstwo. Budzi również odrazę pociąg żywiołu miejscowego do przelewania krwi, my bowiem we wszystkich warstwach społecznych jesteśmy właściwie bardzo łagodnego usposobienia. Wreszcie, jakkolwiek rzymski katolik formalnie, Brazylijczyk razi naszego osadnika swą pierwotną, barbarzyńską bezbożnością, nierozumieniem religii i jej wymagań, dzikimi zwyczajami religijnymi i nieprzyzwoitem znalezieniem się w kościele. Pod ostatnim względem wyższość cywilizacyjna naszego osadnika występuje bardzo wybitnie jest ogromną siłą we współzawodnictwie kulturnem na tutejszym gruncie.

Z drugiej strony wszakże tenże Brazylijczyk ma dla przybysza z Polski urok odwiecznego dziedzica tej ziemi i politycznego władcy kraju, imponuje mu znajomością przyrody tutejszej, życia i instytucyi miejscowych, góruje nad nim, jako kawalerzysta, strzelec i artysta we władaniu nożem, (sztuki niezmierne ważne w życiu tutejszem), ujmuje go swą właściwą pierwotnym społeczeństwom gościnnością, zawstydza go swą grzecznością i nawet pewną elegancyą w obejściu, znamionującą wszystkie narody kultury łacińskiej, w szczególności zaś odłamu pirenejskiego. Najważniejsza zaś bodaj jest, że brazylijskość — to dla naszego osadnika wolność i równość; jako Polak, zdobywa on sobie równość, do której ma silny, iście słowiański pociąg, przez utworzenie tu społeczności chłopskiej; jako Brazylijczyk ma tę równość wobec wszystkich, równość nietylko prawną, ale towarzysko-społeczną, w postaci pewnej patryarchalnej poufałości, jaka w Brazylii panuje między ludźmi, bardzo odległymi od siebie znaczeniem, majątkiem, inteligencyą i t. d. Widzi on tu, jak bosy »kaboklo« podaje rękę gubernatorowi i siada sobie nieproszony w jego obecności, i zestawia to, z t. zw. popularnie »mordobiciem«, uważanem u nas jeszcze zbyt powszechnie za jedną z najważniejszych podstaw porządku społecznego.

Brazylijczyk, przeciwnie, ma dla Polaka bezwzględną niemal pogardę. Trzeba wiedzieć, że niema większych szowinistów nad Brazylijczyków. Patrzą oni z góry na Anglików nawet, a cóż dopiero na naszych polskich chłopów. Tych stron, któremi przybysz z Polski ich przewyższa, nie rozumieją. Chwaląc nawet Polaków za pracowitość, kryją w głębi duszy pogar-

dę dla tej zalety, którą przyzwyczaili się przez wieki uważać za cnotę... niewolników. Natomiast aż nadto uświadamiają sobie i przesadzają swą wyższość, nie rozumiejąc, że w wielu razach jest ona tylko skutkiem pierwotniejszego życia. Dodać trzeba, że sposób zachowania się naszych chłopów, zwłaszcza z Królestwa i Galicyi, na wstępie do Parany nie pomógł wcale do wzbudzenia szacunku dla polskości. Brudni, obdarci, pokorni, całujący byle łobuza po rękach, pozwalający się poszturchiwać, bić i kaleczyć bezkarnie *), dla półdzikich, ale pełnych kawalerskiej fantazyi »kabokłów« byli istotami nieskończenie od nich niższemi. Na dodatek nędza, dezorganizacya społeczna, rozczarowanie w ziemi obiecanej i oszołomienie okropnością warunków, w jakich się znaleźli, wywołały demoralizacyę. Żony i córki przybyszów, czasem z wiedzą i wolą mężów i ojców, zostawały nałożnicami Brazylijczyków, a dzieci szły na służbę do nich. Panowie kraju rozumieli, że przybysze z Polski, niżsi o wiele od innych cudzoziemców, zastąpią im wyzwolonych niedawno murzynów. Wyraz »Polaco«, często z epitetem »burro« (osiół, głupi) stał się dosyć powszechną obelgą, a »Polaca« wcale nie obejmuje pojęcia cnót rodzinnych i czci kobiecej. Podobne zachowanie się przybyszów niedługo, co prawda, trwało. Żelazną wytrwałością i pracą osadnik nasz zdobył sobie kawałek chleba i niezależność; na tym gruncie już odrodziła się częściowo właściwa polskiej naturze fantazya, z którą w parze, niestety, nawet pycha się zjawia. Nauczył się władać bronią, o ile nie umiał poprzednio, a, co ważniejsza, mieć ją w domu i nosić, gdy trzeba, przy sobie. Już się nieraz zdarzyło, że Brazylijczycy, którzy chcieli sobie poużywać na polskiej skórze, zostali dobrze przetrzepani, przyczem się okazało, że zuchwali wobec bezbronnych, wobec zbrojnych umieją być tchórzami. Oddawanie dzieci na służbę do rodzin brazylijskich obecnie już jest źle uważane, a jeżeli się zdarzy gdzie w polskiej rodzinie dzieciak mocny brunet, z kręconemi włosami i oczyma, jak węgle, to ma

*) W jednym z naszych pamfletów politycznych czytałem, iż arystokracya ma ogromne znaczenie dla narodu przez to, że reprezentuje go za granicą. Otóż nie powinniśmy zapominać, że w ostatnich czasach, skutkiem emigracyi stałej i zarobkowej, o wiele częściej jesteśmy reprezentowani przez chłopów, którzy podróżują dziesiątkami tysięcy, robiąc dalsze wycieczki, niż do Paryża, Włoch lub Monte Carlo. Ta reprezentacya odsłania przed obcymi w całej pełni naszą nędzę, ciemnotę i zacofanie, będąc stałym aktem oskarżenia przeciw naszemu społeczeństwu, bo nikomu nie przychodzi do głowy oskarzać rządów, u nas panujących, a powstrzymujących postęp ludu. «Widziałem Polaków — powiada cudzoziemiec — to tacy brudni, obdarci i rozczochrani biedacy, całujący każdego po rękach». Dobrzeby było, żeby autorowie pamfletów w rodzaju wspomnianego zaczęli myśleć o poprawieniu tej reprezentacyi naszego narodu.

6-7 lat. Nie można powiedzieć, żeby poprawa była zupełną — widzi się często smutne zachowanie się Polaków, a zwłaszcza Polek — kto wie czy nie gorsze o wiele w Kurytybie, niż po koloniach — ale wszędzie znać dążenie ku lepszemu i różnica w porównaniu z niedawnymi czasami jest ogromna. Niemniej przeto pierwsze wrażenie, przez polskich przybyszów wywołane, nie zatarło się i dużo jeszcze czasu upłynie, zanim polskość zdobędzie sobie tutaj należny szacunek.

Poczucie wyższości Brazylijczyków nad Polakami zwiększa się przez przekonanie, że cały naród polski składa się z ludzi tego stopnia kultury*), który oni tutaj widzą. Co gorsza, iż przekonanie to dzielą inni cudzoziemcy tutejsi a poniekąd i nowe, wychowane tu pokolenie polskie, okazujące ogromne zdziwienie na widok Polaka, mniej więcej zamożnie i cywilizowanie wyglądającego.

W podobnych warunkach młody Polak, który się trochę przetarł w brazylijskim świecie, posiada pewną fanfaronadę, która zawsze z powierzchowną cywilizacyą idzie w parze, uważa za dobry ton mówić po portugalsku, a nawet zapierać się polskości i udawać Brazylijczyka. Na tej właśnie drodze odbywa się głównie wynaradawianie Polaków tutejszych. Ułatwia je ta okoliczność, że nasz lud jest niesłychanie pojętny, uczy się obcego języka bardzo prędko, co w podziw wprowadza Brazylijczyków, przyznających, że Polacy tutejsi po kilku miesiącach lepiej władają językiem miejscowym, niż Niemcy po całych latach. Wpływa też na to zupełny brak u naszego osadnika szowinizmu, którego by się trochę może przydało. Przy każdej sposobności biada on chętnie nad wadami charakteru polskiego, a to, co obce, często mu się wydaje niesłusznie lepszem od swojego. Gdym zażartował z kolonisty, że zapomniał wyrazu »ptak« i mówi »*passarinho*«, odpowiedział mi: »kiedy to jakoś delikatniej, a »ptak« to tak twardo się wymawia«.

Obok słusznego czy niesłusznego uroku brazylijszczyzny, na wynaradawianie się często wpływa interes. Po kilku latach pobytu w tym kraju człowiek, znający dostatecznie proste zresztą i łatwe do poznania tutejsze stosunki, oraz władający dostatecznie językiem portugalskim, przyłączając się do tutejszej społeczności brazylijskiej, może na tem dużo skorzystać. Przyłączenie to zawsze idzie w parze z wejściem w szeregi jednej z dwóch partyi politycznych, walczących na tutejszym gruncie. Wtedy dostaje się ochłapy z łupu, możność bezkarnego robienia nadużyć i godność reprezentanta jeżeli nie władzy, to przynajmniej wpływu

*) Z trudem przychodziło mi czasem przekonać spotkanego Brazylijczyka, że nie jestem ani „*ministro*", ani „*consul dos Polacos*", ani nawet „*principe*", tylko zwyczajnym sobie Polakiem. Pokusa pozowania była, co prawda, silna...

politycznego. Nikt się tak nie daje we znaki naszym kolonistom, jak ci właśnie sprytni Brazylijczycy polskiego pochodzenia. Kaptują oni ludzi podczas wyborów, jątrzą jednych przeciw drugim, wywołując rozdwojenie, doprowadzając nawet do starć krwawych, a jednocześnie, licząc na protekcyę swych politycznych *«correligionarios«*, pozwalają sobie względem rodaków na akty samowoli, czasami bardzo smutnej. Czuwają oni przytem nad utrzymaniem godności władzy, utożsamiając ją ze swemi osobami zupełnie w taki sam sposób, jak to robią pisarze gminni w Królestwie polskiem. O Polakach takie figury mówią z lekceważeniem w trzeciej osobie.

Nie trzeba objaśniać, że najprościej i najłatwiej pozbywają się polskości ci przybysze, którzy znaleźli się w części kraju, gdzie Polaków niema i gdzie otoczenie z konieczności pochłania ich prędko.

Wobec jednak tych wszystkich warunków nieprzyjaznych nie należy zbyt czarno patrzeć na rozwój polskości tutejszej. Przedewszystkiem trzeba pamiętać, że pod względem ekonomicznym osadnicy polscy są najważniejszą częścią ludności tego kraju. Przystosowani w zupełności do walki z przyrodą tutejszą, fizycznie dzielni i prosperujący w klimacie płaskowyża parańskiego, pracowici, wytrwali, są oni żywiołem ekonomicznie niezależnym, na którym przyszły postęp tego kraju się opiera. Zdolnością do spokojnego życia kulturnego przewyższają oni znacznie żywioł miejscowy, mało skłonny do postępu, a moralność naszych kolonii przedstawia się wcale zadawalniająco. Trzeba pamiętać, że tutejsze osady polskie po lasach żyją właściwie bez rządu, bez sądu, bez policyi, że pomimo to nie dzieją się tam zbrodnie, ludzie się nie mordują, nie okradają, nie gwałcą, że życie płynie prawidłowo, jakby w karbach najlepszej organizacyi państwowej. Jest to, mojem zdaniem, ogromna pochwała dla naszego ludu. Prawda, że dużo piją, zwłaszcza w dnie świąteczne, że po pijanemu dochodzą czasem do bójek, że nie dbają należycie o wychowanie dzieci, ale to nie są zbrodnie tylko smutne wady obyczajowe. Najsmutniejszą stroną ich życia jest brak elementarnej zdolności organizowania się, dobrowolnego nakładania na siebie zobowiązań społecznych, ale to jest skutkiem, po pierwsze, indywidualizmu w charakterze polskim, rozrastającego się ogromnie tam, gdzie ma swobodę, powtóre zaś — warunków życia w kraju, gdzie organizowanie się i dążenie do samorządu jest w oczach władz, zwłaszcza rosyjskich, zbrodnią i surowemu podlega prześladowaniu. Wielką klątwą, nad nimi ciążącą, jest dezorganizacya i brak wzajemnego zaufania. Dosyć jest być członkiem komitetu parafialnego, ażeby być okrzyczanym za złodzieja *), a sam

*) Pod tym względem nie różnią się od inteligencyi polskiej w kraju. Dość przytoczyć, jako przykład, oszczerstwa niektórych naszych dzienników na instytucyę Skarbu Narodowego.

znam przykłady, gdy spotykało to najuczciwszych w świecie ludzi. Z drugiej strony często pozwalają się prowadzić bardzo ciemnym moralnie osobistościom. Jest wszakże nadzieja, że z czasem nabędą pod tym względem lepszej praktyki.

Co prawda, większość osadników o oświatę i utrzymanie dobrych szkół nie dba, a los nauczyciela jest tu marny. Większość ta wszakże składa się z analfabetów. Ci, co umieją czytać i pisać, co sami mają trochę oświaty, rozumieją jej korzyści, tylko nie umieją swego zdania wpoić w innych. Dążenie do oświaty właściwie jest, tylko się nie wyraża w postaci zorganizowanej. Dosyć powiedzieć, że jako przybyszowi z Europy często bardzo mi się zdarzało być napastowanym o książki polskie, za które chciano nawet drogo płacić, byleby tylko były. Żądania były najrozmaitsze, poczynając od książek do nabożeństwa, elementarzy, kalendarzy i »historyjek«, a kończąc na dziejach Polski oraz podręcznikach ciesielskich, stolarskich i t. p.

Najważniejszą rzeczą jest, iż osadnik polski tutaj, mając wolność ekonomiczną niezależność, podnosi się jako człowiek i rozwija w sobie poczucie swej godności, które, co prawda, z początku występuje często w postaci pychy, próżności, ale jest to całkiem naturalny skutek gwałtownej przemiany położenia społecznego jednostki. Równocześnie przez znalezienie się w otoczeniu całkiem odmiennem od tego, w którem wyrósł, umysł jego zmuszony jest do ciągłej samoistnej pracy, do porównywania rzeczy dawnych z nowemi, do odkrywania właściwego ich znaczenia, przez co zyskuje na giętkości, bystrości oraz zbogaca ogromnie swój zasób wiedzy. Sprzyjają temu wrodzone zdolności umysłowe ludu polskiego, które przy pewnej kulturze mogłyby dać niesłychane rezultaty. Jako jeden ze skutków postępu umysłowego i moralnego rozwija się tu silnie narodowa świadomość, która w nierzadkich wypadkach nadzwyczaj zdrową i sympatyczną przybierać postać. Dziś nie można przewidzieć, dokąd ten postęp zaprowadzi, to wszakże jest pewnem, że sprzyja on utrzymaniu polskości na tutejszym gruncie.

Nie mniej ważnym dla jej utrzymania się i rozwoju będzie wzrost liczby ludzi oświeconych z Polski na tutejszym gruncie. Jest ich już trochę dzisiaj, ale, niestety, za mały ich odsetek przedstawia typ korzystny. Przeważnie są to albo postacie marne pod względem moralnym, albo zaś wzory niezaradności i niezdolności zrozumienia, czem musi być człowiek w nowokształtującem się społeczeństwie amerykańskiem. Spotkanie paru ludzi, którzy pracą, rozsądkiem i uczciwością umieli sobie zdobyć materyalną niezależność, szacunek u Brazylijczyków i zaufanie u rodaków-kolonistów, przekonało mię, że zjawienie się większej ilości jednostek tego typu wywołałoby ogromny przewrót na korzyść polskości

w tym kraju. A jest ono możliwe, bo pole dla handlu i przemysłu tu istnieje, żyć tu i dorabiać się można, naturalnie przy trzeźwości i dobrej znajomości stosunków miejscowych.

Najwięcej rozwój tutejszy polskości zależyć będzie od siły napływu nowych emigrantów z ziem połskich i to nietylko do Parany, ale i do stanów Sta Catharina i Rio Grande do Sul.. Kraj nasz materyału wychodźczego ma ogromnie dużo i w normalnych warunkach nietylko sama Parana, ale wszystkie trzy stany razem nie zdołałyby pochłonąć bez katastrof rocznego odpływu emigracyi polskiej, gdyby się ona chciała tu skierować. Im zaś mniejsze będzie terytoryum, zajęte tu przez Polaków, tem prawdopodobniejszy zanik żywiołu polskiego w blizkiej przyszłości w Nowym Świecie bowiem niema miejsca na drobne grupki etniczne. Nie trzeba zaś zapominać, że Sta Catharina już dziś coraz ściślej zespala się ekonomicznie z Paraną, a właściwie z dorzeczem Iguassu, przy rozwoju zaś środków komunikacyjnych nastąpi zbliżenie się z wielkim stanem Rio Grande do Sul, czemu sprzyja wzajemne położenie geograficzne.

Niewątpliwie żywioł brazylijski stale pochłaniać będzie pewną cząstkę polskiego, która może być małą w porównaniu z napływem z zewnątrz. Przy dzisiejszym stanie rzeczy jest to koniecznem, a wpływa na to nie tyle zdolność asymilacyjna Brazylijczyków, która jest względnie słaba, ile fakt, że organizacya państwowa kraju jest brazylijską i, jako taka, sprzyja rozpowszechnianiu się języka portugalskiego, który staje się koniecznym nietylko w bezpośrednim stosunku z władzami i przy wykonywaniu czynności politycznych, ale we wszystkich sprawach, wiążących się chociaż pośrednio z organizacyą machiny państwowej np. akty rejentalne, księgi handlowe podlegające kontroli władz i t. p. prowadzone są portugalsku).

Wchodzą tu w grę jeszcze dwa obce żywioły: włoski i niemiecki. Pierwszy, o wiele liczniejszy od Niemców w Paranie (i w Rio Grande do Sul), miałby ogromne widoki utrwalenia się w przyszłości, zwłaszcza przy rozwoju komunikacyi, którąby go połączyła z dwiema twierdzami włoskiemi, Sao Paulo (także stany Rio de Janeiro i Espirito Santo) na północy, i Argentyną na południu. Żywioł włoski wszakże ma trzy ważne przeciw sobie okoliczności. Pierwszą jest przywiązanie Włochów do europejskiej ojczyzny i ich nawyknienie do traktowania emigracyi, jako czasowego środka zarobku, skutkiem czego Włoch, gdy uważa, że ma dosyć by żyć wygodnie w Europie, wraca do ojczyzny z pieniędzmi. Drugą okolicznością jest, że mówią oni kilkunastu dyalektami, bardzo

różnymi od siebie i od języka literackiego, skutkiem czego Włochom z różnych prowincyi nie jest zbyt łatwo zbliżać się do siebie, a nadto język osadnika włoskiego, nie będąc językiem literackim, jakim jest np. język polskiego chłopa, niema kulturalnej jego siły. Najwięcej bodaj ma doniosłości pokrewieństwo narzeczy włoskich z językiem portugalskim (i hiszpańskim), skutkiem czego ostatniemu bardzo łatwo grać dla nich rolę języka literackiego, dającego się nawet bez nauki jako tako rozumieć. Wobec tego Włosi mają tu do pewnego stopnia to znaczenie, co przybysze z Portugalii, t. j. wzmacniają żywioł brazylijski.

Niemcy, w liczbie kilkunastu tysięcy w Paranie, są groźni dziś nie liczbą, ale silną organizacyą i przewagą materyalną (w Sta Catharina stanowią oni poważny odsetek ludności, więcej zaś jeszcze jest ich w Rio Grande do Sul, tylko tam są słabsi procentowo, wobec wysokich cyfr żywiołu brazylijskiego i włoskiego). Dziś imigracyi niemieckiej z Europy do Parany prawie nie ma, ale odbywa się stopniowo imigracya z Sta Cathariny, przyciągana w znacznej części dużą liczbą osadników polskich, na których można robić handlowe interesy. Dzielą się Niemcy tutejsi na dwie kategorye: starzy osadnicy, potomkowie emigrantów, przybyłych głównie po r. 1848, i nowi, przybyli po r. 1880. Pierwsi mówią przeważnie lepiej po portugalsku, niż po niemiecku, są często brazylijskimi patryotami i nawet szowinistami, wielu zdziczało i zmieniło się w »kaboklów«, ale pod wpływem nowych przybyszów u wielu niemieckość się odrodziła, tak że ich dzieci lepiej mówią po niemiecku, niż oni sami, a portrety Bismarka i cesarza Wilhelma zjawiły się w domach ludzi, którzy nigdy europejskiego lądu nie oglądali. W Paranie przeważa żywioł nowo-niemiecki, gdy głównym siedliskiem starego są dwa inne stany południowe. W dzisiejszych warunkach Niemcy nie przedstawiają niebezpieczeństwa kulturnego (trzeba zauważyć jednak, że w Sta Catharinie pewna ilość Polaków, rozrzuconych między Niemcami, zniemczyła się lub podniemczyła), a niema widoków, żeby żywioł niemiecki wzrósł tu liczebnie bardzo, Niemcy bowiem w obecnej dobie mają słabą emigracyę, a nawet na wypadek jej wzrostu nie da ona żywiołu, zdolnego do ciężkiego pionierstwa w lasach tutejszych. Natomiast pewna imigracya niemiecka, przemysłowa i handlowa, ma tu zawsze lepsze widoki, niż jakakolwiek inna, znajdzie bowiem kredyt i silne poparcie u rodaków, odznaczających się ogromną solidarnością i wyłącznością wobec innych żywiołów.

Dla dokładności zauważyć trzeba, że znajomość języka polskiego szerzy się tu powoli między Brazylijczykami, a zwłaszcza Niemcami, uczą się go ci, którzy stale przebywają wśród Polaków i mają z nim

ciągłe interesy, lub którzy mają do czynienia ze świeżemi partyami imigrantów polskich*).

O ile wszakże rozpatruje się widoki na przyszłość w rozwoju stosunków kulturalnych Parany i dwóch pozostałych stanów południowych, nie można się opierać wyłącznie na istniejącym stanie rzeczy w zakresie politycznym. Dziś te trzy stany są częścią Brazylii, ale niewiadomo, czy długo nią zostaną. Ameryka południowa była wolna przez ciąg kończącego się obecnie stulecia od najazdów z zewnątrz, nie znaczy to wszakże, żeby była zabezpieczona od nich w wieku dwudziestym. Prawdopodobnie będę miał możność bliższego zwrócenia uwagi na tę kwestyę na innem miejscu i wskazania dosyć widocznego już dziś faktu, że Ameryka południowa, a w szczególności Brazylia jest przyszłem polem współzawodnictwa między dwiema młodemi potęgami morskiemi: Niemcami i Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej. Którekolwiek z tych dwóch państw zajęłoby część Brazylii, — a zaczęłoby się niewątpliwie od opanowania stanów południowych — wpływy kulturalne na miejscu gwałtownieby się zmieniły, przedewszystkiem przez degradacyę żywiołu portugalsko-brazylijskiego z jego dotychczasowego stanowiska. W obu wypadkach nowy żywioł panujący stanąłby na miejscu groźny dla wszystkich obcych swą silną organizacyą, której towarzyszyłaby bądź olbrzymia potęga finansowa, bezwzględność, zręczność w działaniu i wynalazczość społeczeństwa północno-amerykańskiego, bądź barbarzyńska niesprawiedliwość polityczna, drobiazgowa chciwość Niemców. Zarówno Anglo-sasi, jak Niemcy, zajęliby odrazu silne stanowisko uprzywilejowane, wobec którego inne żywioły grałyby rolę podrzędną. Polacy dla których niezawodnie najlepsze widoki łączyłyby się z zachowaniem niepodległości Brazylii, mogliby w tych przyszłych wypadkach odegrać pewną, korzystną dla siebie rolę, o ile by byli zdolni do jednolitego działania. Są to wszakże dalsze strony kwestyi, dla których oświetlenia w chwili obecnej zamało posiadamy danych.

Z powyższego przedstawienia stosunków parańskich czytelnik sam już może wywnioskować, jakie są zapatrywania autora na nasze zadania w tej dziedzinie.

Przedewszystkiem należy ułatwiać wychodzcom, udającym się do Parany, nabywanie gruntów i zagospodarowywanie się, chroniąc ich,

*) Co do żywiołu ruskiego ze wschodniej Galicyi, to jakkolwiek osiedlono go tu zwartemi grupami, nie można go za bardzo odrębny od polskiego uważać. Większość Rusinów tutejszych mówi po polsku wybornie — wielu wprawiło się w ten język tutaj — a przy kulturalnej słabości plemienia niema żadnych widoków na wystąpienie ich w charakterze odrębnym, przy znacznych nawet usiłowaniach ze strony jednostek.

o ile można przed wyzyskiem. Stworzyć więc należy zorganizowaną kolonizacyę na możliwie najszerszą skalę, bo wszystko, co będziemy zdolni w tym kierunku zrobić, będzie zawsze zamałem w stosunku do potrzeb naszego wychodztwa, które coraz węższe pole znajduje dla siebie w Stanach Zjednoczonych, a udając się gdzie indziej, często wpada w okropne warunki, zgotowane przez nieludzkich wyzyskiwaczy, jak tego świeżo mieliśmy przykład na wyspach Hawai. *) Pragnąćby należało, żeby zawiązane niedawno we Lwowie towarzystwo kolonizacyjne rozpoczęło jak najprędzej swą działalść i z większemi, niż zamierzone, środkami. Ważną też jest niezmiernie rzeczą, ażeby przedsiębiorstwo kolonizacyjne posiadało sprężystą organizacyę w kraju, nie dopuszczającą do odpływu większej ilości wychodźców do Parany, niż się ma dla nich miejsce, bo w przeciwnym razie są możliwe smutne katastrofy.

Drugą potrzebą jest powiększenie w Paranie ilości polskiego żywiołu przemysłowego i handlowego, przedstawianego przez jak najdzielniejsze i najrozsądniejsze jednostki, mające dostateczne środki i zdolności do działania samoistnego, bo przy dzisiejszem znajdowaniu się przemysłu i handlu parańskiego w obcych rękach, otrzymywanie posad w przedsiębiorstwach tamtejszych jest niezmiernie trudne. Byłoby pożądane, ażeby ci, co wyjeżdzają do Parany, byli dokładniej informowani, niż dotychczas, o stosunkach miejscowych, a jeszcze lepiej, żeby mając zamiar zamiar zajęcia się handlem, przyjeżdżali z pewną znajomością języka portugalskiego.

Jeżeli będą między nimi ludzie, umiejący zbliżyć się do osadników, pomódz im do organizowania się, zająć się podniesieniem oświaty, urządzeniem dobrych szkół i t. d., będzie to ogromna zdobycz dla polskiej społeczności w tym kraju. Natomiast trzeba zniechęcać do ekspedycyi parańskich niedowarzonych polityków, którzy jadą organizować »Nową Polskę« i nazajutrz po przyjeździe rozpoczynają już działalność, zazwyczaj szkodliwą, bo nie opartą na poznaniu stosunków, do czego nie mają ani czasu, ani zdolności, gdyż przeszkadza im rutyna, przywieziona z kraju. Agitacya np. socyalistyczna w Paranie, dokąd wszyscy przybywają i powinni przybywać po to, żeby się zbogacić, jest absurdem. Rezultat jej jest taki, że wzrasta tylko zazdrość względem zamożniejszych jednostek polskich, która i tak już często prowadzi do

*) W przyszłości może ono obrać sobie najmniej pożądany ze stanowiska narodowego kierunek, mianowicie na Syberyę, gdzie przypadłoby mu zadanie wzmacniania żywiołu rosyjskiego. Jest to możliwe tembardziej, że nietylko w rosyjskich wypracowaniach urzędowych i artykułach prasy mówi się o skierowaniu tam wychodztwa polskiego, ale już w pewnych organach polskich, niewiadomo zem się kierujących, odczuwać się daje pewna dla tej emigracyi przychylność.

tego, że Polacy wolą popierać kupca Niemca lub Portugalczyka, by się ich rodak czasem nie zbogacił i na nich nie wywyższył. Również szkodliwą jest tu praca nad wywoływaniem walk narodowościowych, mogących zohydzić życie tutejsze przy różnorodności mieszkańców. W Europie chodzi o wydarcie lub o obronę przed wydarciem każdej piędzi ziemi, gdy tu za oceanem ziemia leży odłogiem i chodzi o to, by ją zająć i coś na niej stworzyć. Współzawodnictwo między narodowościami powinno się objawiać tylko w pracy twórczej, dla której ogromna wolność tu istnieje. Kto więcej zdoła stworzyć, ten weźmie górę. Zachęcać ludzi do tej pracy, organizować ją, odnajdywać najlepsze jej w tutejszych warunkach formy, wykazywać ludziom, że o ile czegoś nie osiągają, to sami są temu winni przez swą niezaradność lub niedbalstwo, to zadanie ludzi, którzy chcą tu czegoś dokonać. Wbijać zaś ludziom w głowy fałsz, że są tu narodowo strasznie uciskani, że urzeczywistnieniu ich dążeń stoją na przeszkodzie obcy, jątrzyć, szczuć, podniecać namiętności — to znaczy odwracać uwagę rodaków od właściwych zadań i wynajdywać dla nich sposób usprawiedliwiania się, że tego lub owego nie mogli uskutecznić. Zamiast tego przenoszenia koniecznych w Europie plag na grunt nowy, lepiej zawinąć rękawy i wziąć się do pracy. Wszelkie w tutejszych warunkach narzekanie jest skutkiem próżniactwa i niedołęztwa, cnót, których przedstawiciele zbyt licznie, niestety, nawiedzają Paranę.

Jednem z najważniejszych zadań jest należyte zaopatrzenie potrzeb religijnych tutejszej polskiej społeczności. Duchowieństwa polskiego jest tu zamało, a niektórzy z dawnych i obecnych księży są nadzwyczaj szkodliwi, wprowadzając rozdwojenie między ludnością tutejszą przez zbyt namiętne oddawanie się polityce, lub szerząc demoralizacyę ohydnym ze swej strony przykładem."

Rozumnie i praktycznie prowadzona gazeta, dająca osadnikowi najważniejsze dla niego wiadomości i w sposób trzeźwy oświetlająca mu jego położenie, kilkanaście dobrych, książeczek szkolnych, specyalnie dla dzieci polskich w Brazylii wydanych, wreszcie elementarna organizacya handlu książkami na miejscu — oto najważniejsze potrzeby umysłowe tutejszych osad polskich których zaspokajanie, przy dobrej chęci i umiejętności, w krótkim czasie mogłoby się odbywać bez wielkich ofiar.

Bliższe a poważne zajęcie się ogółu naszego osadnictwem południowo-brazylijskiem może mu tylko wyjść na zdrowie, rozszerzając zakres jego myśli i aspiracyi, a w następstwie może dać nawet znaczne korzyści materyalne i moralne. Tylko nie trzeba robić zawiele hałasu

nie trzeba bawić się śmiesznemi fikcyami, bo to tylko zniechęca do sprawy ludzi pozytywnych, którzy jedynie na tem polu coś zrobić mogą.

R. Dmowski (Skrzycki).

LISTY DO REDAKCYI.

Pozwólcie mi łaskawie zająć kilkadziesiąt wierszy *Przeglądu* sprawą moją osobistą, mogącą wszakże interesować niektórych z naszych czytelników.

Powróciwszy w zeszłym tygodniu z Brazylii, dowiedziałem się ku wielkiemu memu zdziwieniu i zmartwieniu zarazem, że osoba moja została wplątana przez prof. J. Siemiradzkiego w polemikę jego z p. Arturem Gruszeckim o postępowanie w kwestyi wychodźczej. Martwi mię, ile razy widzę, że dzieje się u nas coś nieprzyzwoitego, niezgodnego z przyjemnymi i pożytecznymi zwyczajami, przyjętymi w cywilizowanym świecie, a taką nieprzyzwoitością jest właśnie wciąganie do polemiki ludzi postronnych, którzy głosu wcale nie zabierali i w spornej sprawie żadnego udziału nie biorą; dziwi mię zaś, iż względów tych nie przestrzegają ludzie, zajmujący, jak profesor Siemiradzki, poważne w społeczeństwie stanowisko. O osobie prof. Siemiradzkiego nigdy głosu publicznie nie zabierałem — wspomniałem zaś o nim wogóle raz tylko w paru wierszach całkiem nieosobistej wzmianki krytycznej o jednej z jego publikacyj — miałem więc chyba prawo do tego, żeby p. Siemiradzki mój spokój osobisty uszanował i nie zajmował się badaniem moich skłonności, sympatyi i interesów z któremi nie mam zamiaru publicznie się nosić. Nie widziałem numeru *Czasu* z artykułem, w którym mam nieprzyjemność figurować, z krótkiej wszakże wzmianki w liście prywatnym wnoszę, iż przeznaczona mi została poniekąd rola inspiratora wystąpień p. Gruszeckiego przeciw p Siemiradzkiemu, pochodząca jakoby z wrogiego stanowiska względem niego i jego planów.

Otóż, popierwsze, myli się p. Siemiradzki, uważając mię za swego wroga, namiętności moje bowiem w tym kierunku nigdy nie zdołały się rozwinąć, powtóre zaś wpada już wprost w nieprawdopodobieństwo, przypisując mi zdolności inspirowania człowieka z inteligencyą i stanowiskiem literackiem p. Gruszeckiego z którym zresztą znajomość moja, bardzo dla mnie miła, datuje się od chwili przypadkowego spotkania się naszego w Kurytybie w grudniu r. z.

Nie uważam również za właściwe, żeby nadawano jakiekolwiek znaczenie okoliczności, iż ktoś, ogłaszając w dziennikach swą rozmowę

z p. Gruszeckim i robiąc to najwidoczniej bardzo niedokładnie, wymienił tam moje nazwisko, z mylnem nadto określeniem charakteru mej podróży, pod tym względem tylko prawdziwem, że nie jestem członkiem Towarzystwa handlowo-geograficznego. Przy sposobności zawsze zaznaczałem to z naciskiem, bo nie lubię przywłaszczać sobie tytułów i godności, które mi się nie należą, a podczas mej podróży do Brazylii zbyt często, niestety, chciano mię nimi zaszczycać. Pomijając drobniejsze fakty, wspomnę tylko o dwóch.

Raz przyczepiono do mnie tytuł agenta handlowego towarzystwa kolonizacyjnego we Lwowie, a to na zasadzie słów p. Siemiradzkiego, który pisząc w *Kuryerze warszawskim* o Tow. kolonizacyjnem, wkrótce po wyjeździe moim i p. L. Bieleckiego, zakończył artykuł dyplomatyczną wzmianką, iż właśnie wyjechali do Parany dwaj ludzie, mający, jeżeli dobrze sobie przypominam, rozpatrzyć się w stosunkach handlowych i pozakładać agencye, wzmianka, zrobioną w ten sposób, iż łatwo było pomyśleć, że ludzie ci zostali wysłani przez Tow. kolonizacyjne. Innym razem spadła na mnie godność sekretarza czy adjutanta przy bawiącym w Paranie delegacie Towarzystwa kolonizacyjnego, bo znów ktoś zrobił ogłoszenie w kurytybskiej *Gazecie polskiej*, iż p. N. N. (wspomniany delegat) wyjechał w celu badania stosunków z Kurytyby na kolonie „w towarzystwie" pp. Dmowskiego i Bieleckiego.

Odbywając podróż na własny koszt, we własnych widokach i dla własnej przyjemności, będąc przytem ogromnym zwolennikiem podróży w charakterze prywatnym, prosiłem przed wyjazdem niektórych, życzliwych mi redaktorów, by, wspominając o mej podróży, nie wychodzili poza suchą, paruwierszową wzmiankę. Ponieważ zaś nie lubię ani reklamy dla siebie ani eksploatowania mojej osoby dla reklamy cudzej, przeto proszę obenie tych, co się mą podróżą interesują, żeby się ograniczyli prostowaniem błędów w tem, co o Paranie piszę, a osobę moją zostawili w spokoju.

Londyn, 11 czerwca 1900 r.

R. Dmowski.

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

— W Kijowie w r. 1898 aresztowano wiele osób za propagandę socyalistyczną. Obecnie nadeszły wyroki, skazujące aresztowanych surowo, bo przeważnie na 2 lata więzienia i następnie na zesłanie od 3 do 8 lat do Syberyi lub do północnych gubernii rosyjskich. Między skazanymi jest sporo

Polaków, 2 studentów, 2 adwokatów, 2 lekarzy i t. d. Skazani nie należeli do polskiej partyi socyalistycznej, ale do organizacyi rosyjskiej (właściwie rosyjsko-żydowskiej). Szkoda tych sił, zmarnowanych na wysługiwanie się nie rewolucyi rosyjskiej, bo to byłoby jeszcze w pewnej mierze usprawiedliwionem, ale nieudolnej agitacyi.

= W Nr. 28 »Zbioru przepisów, postanowień i rozporządzeń generał-gubernatora warszawskiego«, znajdujemy następujące fakty:

1. Dwudziestu jeden (21) księży dyecezyi sejneńskiej skazano na kary pieniężne za wykroczenia przeciwko rozporządzeniom policyjnym podczas objazdu dyecezyalnego biskupa sejneńskiego w czerwcu, lipcu i wrześniu 1899 r.

Mianowicie: dziekana dekanatu kalwaryjskiego ks. Jana Zalewskiego skazano na karę rs. 100, regensa zaś seminaryum sejneńskiego ks. Jana Giedrajtisa, tudzież ks. Jana Oryńta, Macieja Wasilewskiego, Macieja Radziukinasa, Wincentego Wojczuka, Szymona Raczunasa, Adama Hryniewicza, Józefa Karusala, Michała Migowskiego, Władysława Palukajtisa, Józefa Bejnarowicza, Jerzego Zeniusa, Macieja Skrzyńskiego, Tomasza Kiadysa, Antoniego Katyla, Ant. Radyńskiego, Walentego Jurgiłasa, Jana Urzpulisa, Jerzego Narkiewicza i Józefa Wołoncewicza — każdego na karę rs. 50.

2. Sołtys ze wsi Wolka N.sowska pow. konstantynowskiego gub. siedleckiej, Paweł Burdzyński i włościanie Wawrzyniec Korniluk i Andrzej Gawroński skazani — Burdzyński na 3 miesiące więzienia, dwaj inni na dwa miesiące każdy — za urządzanie zebrań opornych unitów.

3. Julja Hałuszka, mieszkanka wsi Huś, skazana na 2 tygodnie aresztu za urządzenie zebrania opornych unitów.

4. Anna Wojtuk, mieszkanka wsi Wogino, skazana na 2 tygodnie aresztu za urządzenie zebrania opornych unitów.

5. Daniel Hobryn, mieszkaniec wsi Łoski pow. radzyńskiego, skazany na 2 tygodnie aresztu za urządzenie zebrania opornych unitów.

6. Kazimierz Zarowski z gminy Szczebrzo-olszańskiej gub. suwalskiej, i Jan Gołębiowski z gminy Biełdy gub. łomżyńskiej, skazani na 5 dni aresztu za rozpowszechnianie wśród ludu książek i pamiątek treści religijnej.

= Korespondent warszawski *Nowej Reformy* podaje trochę spóźnioną ale zasługującą na powtórzenie wiadomość o aresztowaniach kwietniowych w Wilnie: »Nowe przerażenie padło na Wilno w świątecznym tygodniu wielkanocnym, który dla Litwy był Wielkim tygodniem. Uwięziono z początku jednej nocy, następnie już i w biały dzień, kilkadziesiąt osób, starszych i młodszych, mężczyzn i kobiet, ludzi już dojrzałych i uczącej się młodzieży. Ramię policji państwowej sięgnęło i za Wilno. Z prowincyi przywieziono kilku młodych obywateli, pomiędzy innymi p. Abłamowicza. I tu »corpus delicti« ma być książka, książka polska, dozwolona już przez rząd, ale książka czytana wspólnie, szerzona zbiorowo, gdyż rząd zaledwie toleruje ją jako towar księgarski i nabywać ją pozwala na osobisty tylko, ściśle jednostkowy użytek. W takich warunkach, w których książka musi być tolerowaną, aby do rąk ludzkich dojść mogła, korzystanie z niej społeczne, używanie jej za narzędzie oświaty, musi być czynem występnym. Elementarz polski, wskutek takiego sprzysiężenia się na życie Litwy, chociaż dziesięć razy cenzurowany, jest książką podejrzaną na pierwszy już rzut oka policyjnego; staje się książką występną, gdy go to oko dostrzeże nie w rękach matki, ojca, brata lub siostry, ale jakich innych dalszych«.

= Z Rzymu donoszą z bardzo poważnego źródła, że ostatnich dni maja wystosowane zostało do ks. biskupa Simona, nominata płockiego, internowanego w Odesie, pismo z kuryi papieskiej, żądające, aby dla dobra kościoła, dla zakończenia kilkoletniego zatargu dobrowolnie zrzekł się biskupstwa płockiego. Ksiądz Simon zastosował się do życzenia papieża i już wniósł rezygnacyę. Ma on wkrótce być podniesiony do godności arcybiskupiej. Na katedrę płocką zapewne ktoś inny niebawem będzie zaproponowany i przyjęty, rząd zaś rosyjski przyrzekł ks. Simonowi »zupełną wolność i pensyę dożywotnią 2.000 rubli«, niewiadomo tylko, czy z tej »wolności« będzie mógł korzystać w kraju czy też jedynie za granicą.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

= Organ ministra Miquela: *Berliner polit. Nachrichten* zapowiadają nowe ustawy wyjątkowe przeciw Polakom. Rząd wytężyć musi wszystkie siły dla utrzymania żywiołu niemieckiego na wschodzie państwa. Zadaniu temu należy poświęcić dużo pracy i środków materyalnych. Cały naród niemiecki powinien być tem zainteresowany i wiedzieć, że tu chodzi o jego własne interesy żywotne. Pruskie ministerstwo ma się wkrótce zająć tem specyalnie, by zapobiedz s t a ł e m u r o z p i e r a n i u s i ę ż y w i o ł u p o l s k i e g o.

Inne gazety niemieckie, mianowicie hakatystyczne, głoszą, że będą wydawane osobne ustawy, odnoszące się do posiadania ziemi.

Celem tych ustaw ma być utrudnienie, a raczej nawet uniemożliwienie parcelacyi prywatnej. I teraz już władze administracyjne parcelacyi polskiej przeszkadzają.

= *Praca* poznańska zamieściła artykuł, wykazujący, że różni panowie wielkopolscy, należący niegdyś do partyi ugodowej, dali spore sumy na założenie w Poznaniu trzeciego czy czwartego pisma codziennego niemieckiego — *Posener Neueste Nachrichten*, które wcale nie ogląda się na Polaków, ale służy głównie interesom żydów. Naiwność tych panów graniczy blisko z głupotą polityczną, nie ma jednak racyi napadanie z tego powodu na *Posener Neueste Nachricheten* i zmuszanie w ten sposób bądź co bądź przyzwoitego pisma do jawnego występowania przeciw Polakom.

= Za artykuł »Lojalni i wierni poddani«, z którego dłuższe wyjątki przytoczyliśmy parę miesięcy temu, redaktor odpowiedzialmy *Pracy*, p. Świętkowski, skazany został na 2 miesiące więzienia.

= Podczas obrad w sejmie pruskim nad ustawą o przymusowem wychowaniu młodzieży wniósł poseł ks. Jażdżewski poprawkę, aby oddając dzieci na wychowanie przymusowe, uwzględniano nietylko stosunki wyznaniowe ale i narodowościowe t. j. żeby dzieci polskie oddawano pod opiekę rodzin polskich. Na to odpowiedzial poseł narodowo-liberalny Noelle:

»Sądzę, że dla nas Prusaków jest w państwie tylko jeden naród i to są zjednoczeni w państwie pruskiem Niemcy (!!). Nie ma w granicach Prus żadnego osobnego, polskiego narodu; są Prusacy, którzy mówią polskim językiem ojczystym, jak inni mówią duńskim albo walońskim, ale nie ma Prusaków, należących do jakiej innej narodowości. Z tego prawnopaństwowego stanowiska jest dla moich politycznych przyjaciół wniosek niemożliwy do przyjęcia«.

Po Noellem przemówił minister spraw wewnętrznych Rheinhaben:

»Mości panowie, co do wniosków pana posła Jażdżewskiego, to chodzi w nim o oznaczenie, że dzieci winny być wychowywane w rodzinie ich wyznania i narodowości. Zgadzam się na to, przypuszczając, że pan poseł Jażdżewski miał na myśli pruską narodowość. (Wesołość).

«Ale to rozumiałoby się samo przez się i w takim razie nie potrzeba wcale takiego artykułu. Gdyby jednak miał na myśli jakie inne narodowości, to oświadczam, że my w Prusach mamy tylko pruską narodowość, żadnej innej«.

Ma się rozumieć, sejm pruski poprawkę ks. Jażdżewskiego odrzucił.

== Gazety polskie w zaborze pruskim podają następującą wiadomość z Malborga: Trzech zagranicznych robotników polskich opuściło pracę w dobrach Mątwy, ponieważ im się tam nie podobało. Wysłany za nimi w pogoń dozorca miał ich przywołać na powrót do pracy i dogonił ich niedaleko Wisły. Ponieważ jednak robotnicy nie mieli chęci pod takimi warunkami podjąć na nowo pracy, więc rozgniewany dozorca wrzucił ich do wody. Biedacy pływać nie umieli, przeto dwaj zatonęli a jednego zdołano ocalić.

Z GALICYI.

== Pisma galicyjskie ze szczególnem zadowoleniem zaznaczają, że koloniści niemieccy, oddawna osiedleni pod Leżajskiem, sprzedają grunta okolicznym włościanom i na wezwanie komisyi kolonizacyjnej wynoszą się do Poznańskiego. Trudno zrozumieć powód tego zadowolenia, nieliczne bowiem kolonie niemieckie w Galicyi nie są wcale dla polskości niebezpieczne, wzmacnianie zaś żywiołu niemieckiego w Poznańskiem jest faktem dla sprawy narodowej groźnym. Raczej cieszyćby się należało, gdyby Niemcy z zaboru pruskiego przenosili się do Galicyi.

== Jak wiadomo hr. Tarnowski odepchnął brutalnie Ślązaków, spieszących z hołdem dla wszechnicy Jagiellońskiej. Otóż niedawno złożony został na wystawie w klasztorze OO. Franciszkanów przy darze jubileuszowym Ślązaków, odrzuconych przez rektora hr. Tarnowskiego, wieniec od gości, przybyłych z pod zaboru rosyjskiego, z napisem: »Dla braci Ślązaków, od braci z nad Wisły, Niemna i Dniepru«.

== Towarzystwu uniwersytetu ludowego namiestnictwo odmówiło ponownie pozwolenia na zbieranie składek pod pozorem, że ofiarność publiczna jest już zanadto wyzyskiwaną. Natomiast różnym oszustom i wydrwigroszom, zbierającym składki na niewiadome lub nieokreślone cele i będącym istotną plagą w Galicyi — władze nie robią żadnych przeszkód.

== Moskalofile w powiecie żydaczowskim wystąpili z żądaniem, żeby władze w stosunkach urzędowych nie używały języka ruskiego, ale korespondowały po polsku lub po rosyjsku.

== Szkoła kadetów we Lwowie, na którą miasto poniosło znaczne ofiary, liczy na 4 kursach 140 uczniów, ale tylko na pierwszym kursie 20 Polaków. Na wyższe kursy sprowadzono uczniów z całej Austryi i Węgier, ale jakby umyślnie pomijano Polaków. Z 16 nauczycieli jest tylko 3 Polaków. Język polski lub ruski jest dla wszystkich uczniów obowiązującym.

Rząd widocznie obawia się, żeby szkoła nie nabrała charakteru polskiego. Obawa płonna wobec dziwnej niechęci młodzieży polskiej do zawodu

wojskowego. Procent oficerów Polaków w wojsku austryackiem nie jest większy niż w wojsku rosyjskiem, gdzie istnieją specyalne ograniczenia.

== Wiadomo, że dobrobyt ludności w tych powiatach zachodnio-galicyjskich, z których istnieje emigracya do Stanów Zjednoczonych, znacznie się poprawił. Emigranci rzadko zostają w Ameryce, zwykle po kilku latach wracają z zaoszczędzonym groszem, a rodzinom, pozostawionym w kraju, podczas pobytu na obczyźnie wysyłają spore stosunkowo sumy. Wykaz za rok 1899 świadczy, że do urzędów pocztowych i to nie wszystkich w powiecie jasielskim wysłano ze Stanów Zjednoczonych 1,044.000 koron, do urzędów pocztowych w sąsiednim powiecie krosieńskim około 300.000 koron. Do tych sum dodać należy pieniądze, przywiezione przez wracających z Austryi do kraju emigrantów i przez tych, którzy idą na zarobki do Niemiec. Zarobki na obczyźnie ratują lud w Galicyi zachodniej od nędzy, a nawet w niektórych okolicach sprawiają, że poziom zamożności jego stale wzrasta.

== Urzędowa Rosya obchodziła niedawno 25 rocznicę »dobrowolnego połączenia się« unitów z cerkwią prawosławną w dyecezyi chełmskiej. Z powodu tej uroczystości »młodzież teologiczna« w Galicyi wydała protest, w którym czytamy: »Jak wiadomo, obchodzi w tym tygodniu urzędowa Rosya 25-letni jubileusz nawrócenia rusko-ukraińskiego katolickiego narodu, naszych rodaków w Chełmszczyźnie na wszechrosyjskie urzędowe prawosławie. Wiadomo powszechnie, jakie czynniki działały decydująco w tym akcie wydarcia katolickiej wiary naszemu narodowi, wiadomo również, jakie drakońskie ukazy i rozporządzenia wychodziły w tym celu z kancelaryi rosyjskich carów i ich urzędników ..

»I drzewo, zasadzone ręką Pocieja, pielęgnowane przez Rutskiego, zroszone i podlane krwią św. Jozafata, w granicach »kulturalnej« Rosyi więdło, marniało, aż z czasem zupełnie uschło. Ten akt rosyjsko historycznego knuta, kozackiej nahajki, podłego szpiegostwa, najnielitościwszych indagacyi, olbrzymich kontrybucyi, najdzikszego barbarzyństwa, handlu ludzkiem sumieniem, więzienia, deportacyi kapłanów i wiernych w głąb Rosyi i Sybiru, pamięć takich bohaterów apostatatów, jak Siemaszko, Popiel, Wojcicki, Diaczan i t. p., dziś obchodzi Rosya uroczystym jubileuszem. Oto *Russia jubilans!* W Europie, kolebce postępu i kultury, promotorce etyki i humanizmu, w państwie, które ma pretensyę nazywać się po europejsku kulturnem, w XIX stuleciu wolności, wolności »per eminentiam«, panowały przez całe prawie trzy ćwie ci stulecia straszne czasy Nerona i chrześciańskiej martyrologii i za te czasy dziś — *Russia jubilans!*

»Przeciw temu cynicznemu podeptaniu wszelkich etycznych zasad, przeciw tej brutalnej tyranii świętych, najgłębszych uczuć sumienia naszych braci, podnosi rusko-ukraińska, katolicka, teologiczna młodzież donośny protest — protest przeciw temu, chyba na przekór cywilizowanaj Europie, obchodzonemu jubileuszowi, a zarazem ośmiela się zawezwać do podnoszenia głośnych protestów przeciwko temuż jubileuszowi w chełmskiej dyecezyi, całe duchowieństwo, cały nasz naród."

Rusko-ukraińska katolicka teologiczna młodzież Galicyi«.

Protest powyższy podpisało 135 teologów, wychowanków grecko-katolickiego seminaryum wa Lwowie, z ogólnej liczby 204. Z tej ogólnej liczby 150 zalicza się do narodowców ruskich, a 54 do moskalifilów. Na ułożonym proteście podpisało się początkowo 10 moskalofilów, którzy na-

stępnie po zasięgnięciu informacyi po za murami grecko-katolickiego seminaryum — wycofali swe podpisy.

Protest »młodzieży teologicznej«, chociażby w społeczeństwie ruskiem nie wywołał oddźwięku, jest objawem znamiennym. Dotychczas bowiem duchowieństwo unickie w Galicyi albo sympatyzowało z nawracaniem unitów w zaborze rosyjskim na prawosławie, albo obojętnie traktowało tę sprawę, chociaż ono właśnie powołane było w pierwszym rzędzie do obrony wiary i pracy misyjnej w Chełmszczyźnie i na Podlasiu.

Z KRESÓW.

= Piszą nam z Górnego Ślązka:

»Przed izbą karną w Bytomiu toczył się proces przeciw redaktorowi krakowskiej gazety *Polak*, którego posądzono o podszczuwanie różnych klas ludności do gwałtów. Jako główny świadek występował p. Mädler, pograniczny komisarz, który w politycznych procesach coraz częściej rolę odgrywa. Sprawa została odroczona; toczyła się przed zamkniętemi drzwiami.«

»Że pruska wolnosć prasy nie ze wszystkiem chroni od tropienia pism rządowi nieprzychylnych, a tym samym i od tropienia ludzi pisma te otrzymujących, niech dopowie niniejsza wzmianka bytomskiego *Katolika* z dnia 28. kwietnia rb. Nietrudno zrozumieć, że *Polak* policyi tutejszej tak długo był był obojętny, dopóki go tu nikt nie czytywał. W ostatnim czasie czytelnictwo jego się wzmogło, co wystarcza, aby pismo prześladować. To samo co dziś o *Polaku*, usłyszymy niedługo i o *Pochodni*.

»Że komisarz pograniczny Mädler, w Bytomiu przy ulicy Dyngos (*Grenz-Kommissar* Mädler, Beuthen Dyngosstrasse) zamieszkały, nietylko krakowskiemu *Polakowi*, ale wszystkim Polakom i każdemu z nas może być szczerze niebezpieczny, o tem niejeden się już na własnej przekonał skórze. Czas największy pomyśleć o tem, jakby mu rzemiosło jego obrzydzić. Oto próbka jego sposobu łapania ludzi: Dorożkarz Nowicki i handlarz Katolik z Sosnowic w Królestwie Polskim, w procesie wytoczonym współwłaścicielowi bytomskiego pisma *Katolik* p. Gajdzie i budowniczemu Kazimierzowi Lierschowi w Bytomiu o obrazę majestatu, zeznawali przed sądem bytomskim jako świadkowie, że widywali w Sosnowicach i w Królestwie Polskim niejakiego Hugo Piotrofsky'ego, skończonego szubrawca, który główną odegrał rolę w procesie Gajdy i Lierscha.

W końcu marca rb. komisarz Mädler zwabił pp. Nowickiego i Katolika z Sosnowic na terytoryum pruskie pod pozorem, że honoraryum świadkowego im wypłacono za mało. Nowickiego i Katolika uwięziono natychmiast po przekroczeniu granicy pod zarzutem krzywoprzysięztwa i do dziś dnia siedzą w śledztwie w więzieniu bytomskim.

Górnik Gajdzik z kopalni Saturn pod Sosnowicami również w procesie Gajdy i Lierscha zeznawał. I jego chciano zwabić i uwięzić, a ponieważ się nie stawił do granicy, przeprowadzono w domu jego śledztwo, a uczynił to naczelnik tamtejszy w towarzystwie — komisarza Mädlera.

Również i na córkę Gajdzika, która przypadkiem była za sprawunkami w Bytomiu, policya czatowała, aby i ją przyaresztować, choć z całym procesem itd. najmniejszej nie miała styczności.

Głównym agentem i pomocnikiem Mädlera jest niejakiś Exner, który dawniej był sztygarem w Królewskiej Hucie, ale z Prus musiał się usunąć

za granicę za jakieś nieczyste sprawy i który obecnie jest zatrudniony na kopalni Saturn w Królestwie. Gajdzik podobno otrzymał na krótko przed owem śledztwem list z pogróżkami — otwarty z poręki Exnera, — który dziwnym zbiegiem okoliczności już naprzód o tem wiedział, że list ten nadejdzie. Przy śledztwie list ten Gajdzikowi odebrano i na nim to sąd bytomski prawdopodobnie opiera oskarzenie przeciw Nowickiemu i Katolikowi, których wciąż trzyma więzieniu.

= Hakatystyczna *Ostmark* bije na alarm, że skutkiem przeniesienia do stolicy Ślązka »po polsku usposobionych urzędników«, polskość we Wrocławiu otrzymała silną podporę. W wielu oknach czytać można napis »usługa polska«. Obok »Sokoła« i towarzystwa śpiewu »Lutnia«, istnieje tam polskie »Koło towarzyskie« i »Towarzystwo handlowe polskie«, co więcej, założono tam polski »Bank ludowy«, w celu udzielania tamtejszym Polakom taniego kredytu. »Sokół« wycofał swój majątek z banku poznańskiego, a ulokował go w polskim banku we Wrocławiu. W domu sw. Wincentego odbywają się regularne przedstawienia teatralne, bardzo liczne przez Polaków nawiedzane.

Dodać należy, że dawniej we wszystkich hotelach i większych sklepach we Wrocławiu mówiono po polsku, bo szlachta z Poznańskiego i z Królestwa odwiedzała często stolicę Ślązka i robiła tam znaczne zakupy. Obecnie liczba Polaków w mieście zwiększyła się istotnie, ale jest to przeważnie ludność, żyjąca z pracy, niezamożna.

= Niedawno w delegacyach austryackich hr. Gołuchowski uroczyście zapewniał, że wydalania z Prus nie mają charakteru prześladowania narodowego i broniąc władz pruskich dodał, iż «nie może byc nawet mowy o różniczkowem traktowaniu według narodowości».

Tymczasem *Amtsblatt* regencyi opolskiej jednocześnie zamieścił listę 199 wydalonych od 1. stycznia do 1. kwietnia r. b. niemal wyłącznie Polaków i Czechów. Organ urzędowy pruski podaje bez ceremonii takie oto powody wydaleń z powiatu raciborskiego: «z powodu morawskiego», «z powodu polskiego pochodzenia», «z powodu czeskiego języka» i «z powodu polskiego języka» (*«wegen mährischen Sprache», «wegen polnischer Abstammung», «wegen czechischer Sprache», «wegen polnischer Sprache»*.)

Większość wydalono z powodu, że okazali się dokuczliwymi władzom pruskim (*weil sich lästig gemacht*). W liczbie dokuczliwych są cztero, pięcio i sześcio-letnie dzieci (Cecylia Kaczko, Maksymilian Mainka, Józef Poper) a nawet dwuletni Jerzy Mainka, wydalony przez Katowice.

Z WYCHODZTWA I KOLONII

= Proces przeciwko redaktorowi i wydawcy Leitgebrowi, krawcowi Kolędzie, tudzież drukarzowi Melerowiczowi z Dortmundu o zdradę stanu rozpocznie się 25. czerwca przed trybunałem w Lipsku.

Wszyscy trzej są oskarżeni o zdradę stanu z powodu, że zbierali składki na skarb narodowy, który, według aktu oskarżenia, ma za zadanie odbudowanie Polski.

Oskarżenie jest bardzo wątłe, ustawa bowiem Skarbu narodowego tak określa zadania jego i cele:

»1. Skarb Narodowy jest funduszem składkowym, gromadzonym dobrowolnie w widokach pieniężnego popierania sprawy polskiej i narodowego

ruchu w jego usiłowaniach, dążących do obrony i zdobywania praw narodowych.

«2. Skarb narodowy ma na celu:

a) szczepienie wśród ogółu społeczeństwa zasady liczenia na własne siły i środki;

b) zaprawianie tegoż ogółu do obowiązku płacenia narodowego podatku;

c) zasilanie podobnych prac narodowych stałymi funduszami;

d) poparcie w stosownej chwili wszystkiemi siłami stanowczej akcyi politycznej».

= *Dziennik berliński*, który w ostatnich czasach bardzo się ożywił i poprawił w skutek współpracownictwa sił młodych i inteligentnych, od 1. kwietnia zaczął dołączać dodatek tygodniowy p. t. *Polak na obczyźnie.* W wydanych dotychczas numerach znajdujemy wyjątki z dzieł znakomitych poetów, kurs historyi polskiej, kurs literatury polskiej i t. d. Nie wiemy, jakiego rodzaju czytelników ma *Dziennik berliński*, sądzimy jednak, że nie zaszkodziłoby w dziale poezyi wybieranie dostępniejszych pojmowaniu szerokich kół — utworów. W każdym razie myśl wydawania takiego dodatku jest bardzo szczęśliwa.

Należałoby w nim zamieszczać również popularne odczyty, z których mogłyby korzystać towarzystwa polskie.

= Lwowskie Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe za pośrednictwem p. Z. Lewandowskiego nabyło od rządu w Paranie znaczny obszar gruntów, (kilkanaście mil kwadratowych), wystarczający do osadzenia na nim przynajmniej 5.000 rodzin. Nie znamy szczegółów tej tranzakcyi, przypuszczamy że rząd parański odstąpił Towarzystwu znaczny obszar ziemi pod warunkiem rozkolonizowania go w określonym przeciągu czasu. Jest to dopiero pierwsza i najłatwiejsza część zadania, pozostają jeszcze inne, trudniejsze, wymagające zorganizowanej działalności i znacznego nakładu kapitałów, mianowicie sprowadzenie kolonistów i osadzenie ich na gruntach, dopomożenie im w zagospodarowaniu się, pobudowanie dróg i projektowanych zakładów przemysłowych. Chodzi teraz o to, żeby towarzystwo znalazło dosyć sił i umiejętności, jak również dosyć pieniędzy do podołania tym zadaniom.

= Otrzymaliśmy z Konstatynopola następującą odezwę: »Do dziś dnia istnieje tutaj miła i droga pamiątka — dom, w którym mieszkał i umarł nasz wielki wieszcz, Adam Mickiewicz, co też objaśnia umieszczona nad bramą wchodową tablica pamiątkowa. Obecna właścicielka domu, p. Ratyńska, zmuszona okolicznościami, chce dom sprzedać, a jeżeli dom ten przejdzie w obce ręce, nieumiejące lub niechcące uszanować naszej tak cennej pamiątki, przepadnie ona na zawsze. Towarzystwo polskie wzajemnej pomocy i dobroczynności w Stambule, istniejące od r. 1805, czyni wszelkie starania dla nabycia tego domu, ponieważ dotychczas nie posiada stałej siedziby na zebrania, tudzież na umieszczenie biblioteki i przytułku dla biednych rodaków, lecz stoi temu na przeszkodzie mała liczba niezamożnych członków. Koszta potrzebne na nabycie tego domu wynoszą 10.000 franków. Towarzystwo, nieposiadające tej stosunkowo niezbyt wielkiej sumy, odzywa się zatem do patryotycznej ludności polskiej z gorącą i serdeczną prośbą, ażeby w drodze dobrowolnych składek raczyła poprzeć jego usiłowania i zebraniem potrzebnego funduszu przyczyniła się zarówno do urato-

wania cennej pamiątki, jak wspomożenia biednych rodaków, żyjących w Stambule. Wszelkie datki na ten cel przyjmuje się pod adresem: Le Rev. Père Nicolaus Kiefer, curé de l'eglise St. Marie à Constantinople (Pera)«.

Z OBCEGO ŚWIATA,

= W mieście Łubnach, w guberni połtawskiej uczniowie wyższych klas gimnazyalnych umówili się pomiędzy sobą, ażeby poza szkołą nie używać języka rosyjskiego, tylko mówić po małorusku. Gdy się władza o tem dowiedziała, nakazała zamknięcie dwóch klas VII i VII. Kilku uczniów, uważanych za inicyatorów spisku, aresztowano i odstawiono do więzienia w Połtawie.

= Wiedeńska *Politische Correspondenz*, która za pośrednictwem p. Koźmiana jest organem zagranicznym naszych ugodowców, zamieściła niedawno depeszę z Rzymu, według której jakoby »w kołach watykańskich miano zwrócić uwagę na to, że rząd rosyjski pielgrzymce, prowadzonej przez biskupa kowieńskiego a złożonej z rzymsko-katolickich i unickich pielgrzymów nietylko nie stawiał przeszkody, ale jeszcze wspierał biednych pielgrzymów pieniędzmi«. Ta depesza zawiera szereg fałszów, i daje swymautorombynajmniej niepochlebne świadectwo.

Niedorzeczne kłamstwo narażało przedewszystkiem wobec władz rosyjskich biskupa Pallulona. Z tego zapewne powodu *Czas*, który poprzednio powtórzył wiadomość z *Politische Correspondenz*, obecnie w sposób ostry wykazuje jej nieprawdziwość, ale tylko w tem, co dotyczy osoby biskupa. Dodać więc trzeba, że i w wiadomości o tolerancyi rządu rosyjskiego nie ma ani źdźbła prawdy. Pielgrzymi przekradali się zazwyczaj przez granicę, a nawet w Krakowie zbyt gorliwi zresztą opiekunowie trzymali ich w zamknięciu w klasztorach i tłómaczyli, że to jast koniecznem ze względu na licznych w mieście szpiegów rosyjskich.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. J. Ch. w Warsz. Używanie nazwisk w liczbie mnogiej, chociaż mowa o osobach pojedynczych, jest pospolitym zwrotem stylowym. W danym wypadku każdy, znający stosunki warszawskie, wie, że mówiliśmy o ks. Zygmuncie Chełmickim i p. Ludwiku Skarżyńskim.

SKŁADKI.

Otrzymaliśmy od K. G. D. 100 złr. z przeznaczeniem na niecenzuralne wydawnictwa dla ludu w zaborze rosyjskim.

KONKURS.

Czytelnia akademicka we Lwowie ogłasza konkurs na prace z historyi Polski, z epoki od 1791 do 1831 r.

Ubiegający się o nagrody, muszą nadesłać opracowania źródłowe, posuwające naprzód naukę — albo też przygotować do druku krytyczne (t. j.

opatrzone w przedmowę i objaśnienia naukowe) nieznane dokumenty, bezpośrednio odnoszące się do dziejów Polski w okresie 1791—1831. Wybór tematu ograniczony zostaje jedynie pod względem epoki (1791—1831) z której ma być zaczerpnięty, zaś jego sposób traktowania jedynie pod względem ścisłej metody źródłowej, zresztą opracowane lub przygotowane do druku dokumenty mogą zarówno dotyczyć przedmiotów historyi czysto politycznej, jakoteż wewnętrznej, mogą to zatem być biografie (lub dokumenty biograficzne) wybitnych osobistości tych czasów, monografie (lub dokumenty) pojedynczych wypadków dziejowych, opracowania (lub dokumenty) pojedyńczych zagadnień z dziedziny bądź polityki i dyplomacyi w zakresie spraw i interesów polskich, bądź też oświaty, administracyi, wojskowości, stosunków wyznaniowych i gospodarczych w kraju t. j. na terytoryum Rzplitej 1791—1794, Księztwa Warszawskiego 1807—1815, Królestwa kongresowego 1815—1831, oraz całej przestrzeni pozostałych, albo też równowartych dzielnic rozbiorowych w czasie 1791—1831 (w rzeczach wojskowości i po za krajem, o ile chodzi o legiony). Zważywszy, że w poszukiwaniach źródłowych każdy z pracujących, ograniczony będzie przeważnie do miejscowych bibliotek i archiwów, że jednak największa część dokumentów do historyi polskiej tych czasów rozrzucona jest po zbiorach w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Lwowie, Petersburgu, Berlinie, Wiedniu, Paryżu, Dreźnie, Rapperswylu, Medyolanie — zawiązany zostaje we Lwowie komitet, który ułatwi wszystkim biorącym udział w konkursie korzystanie z właściwych źródeł przez odpowiednie wskazówki, oraz w miarę możności przez uzyskanie potrzebnych odpisów z materyałów rękopiśmiennych.

Wszelkich bliższych wyjaśnień udziela komitet lwowski (Adres: Kazimierz Jarecki, prezes Czytelni akademickiej Lwów ul. Kościuszki l. 13), który może zarazem wskazać zagądnienia w dotychczasowych opracowaniach dziejów porozbiorowych, wyjaśnione dostatecznie, lub też zgoła nietknięte, a ztąd szczególnie do wyboru tematów pożądane. Do komitetu zgłaszać się należy imiennie, gdyż sąd konkursowy z komitetem nie pozostaje w bezpośrednim związku.

Sąd konkursowy utworzą najwybitniejsi uczeni polscy pracujący nad historyą polską u schyłku wieku XVIII i w pierwszej połowie wieku XIX.

Nagrody ustanawia się trzy:

I. Młodzieży narodowej polskiej uniwersytetu warszawskiego — *300 rubli.*

II. Młodzieży lwowskiej z funduszu Albumu Mickiewiczowskiego — *300 koron.*

III. Młodzieży z zaboru pruskiego i uczącej się za granicą — *250 franków.*

Zarówno prace nagrodzone, jakoteż i wszystkie inne, uznane za odpowiednie do druku, ogłoszone będą staraniem zarządu konkursu w przeciągu roku po wydaniu wyroku sądu konkursowego z pozostawieniem autorom wszelkich ich praw autorskich.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem *1. lipca 1901. r.*

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego